
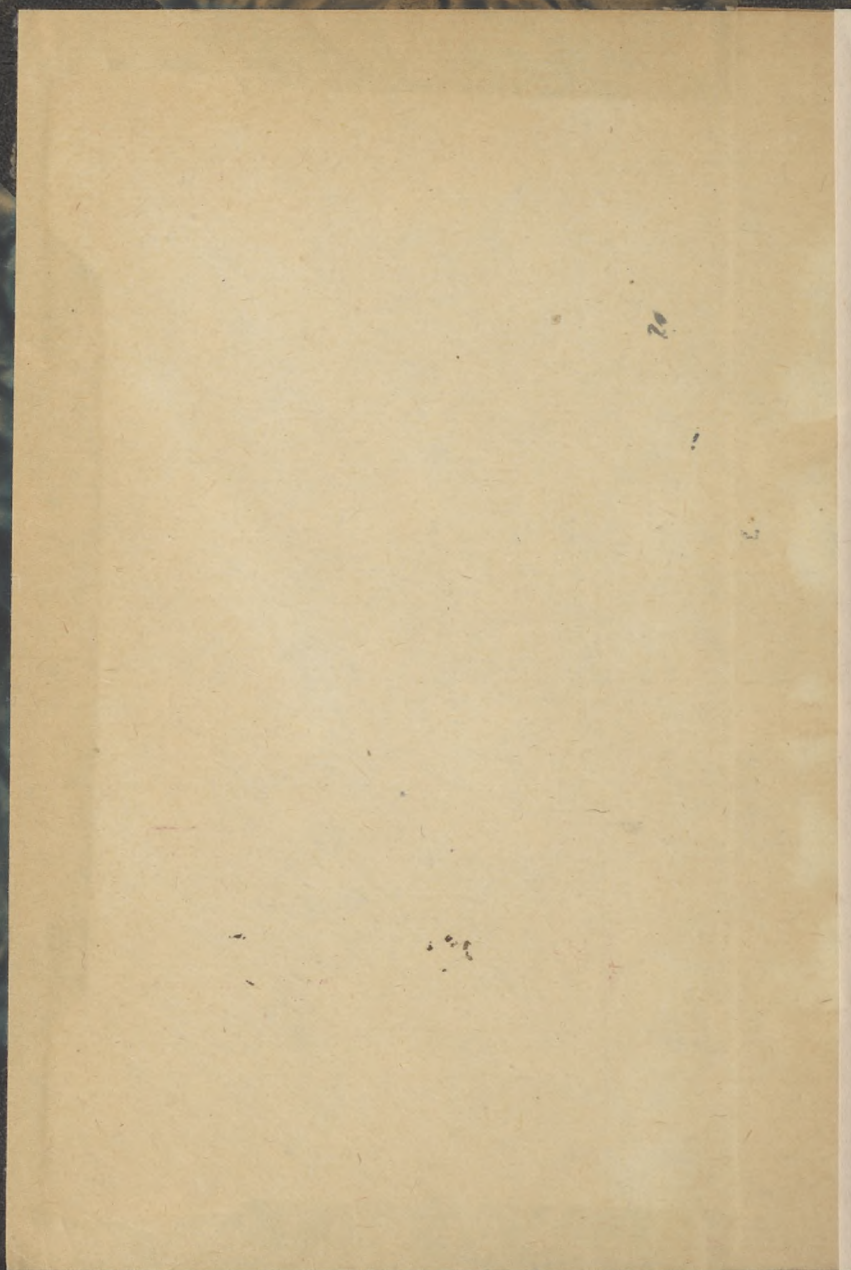


M. J. ZALSKA.

ŚWIATEK ZOSI.

ROZMOWY MAŁEJ DZIEWCZYNY Z CIOCIA.





I 1.563. 986

Świątek Zosi
Rozmowy małej dziewczynki
z ciocią, dla grzecznych
dzieci, spisała

Marya Julia Zaleska
autorka Wieczorów czwartkowych

Warszawa
Nakł. Gebethnera i Wolffa
druk. S. Orgelbranda synów
1893

1911
The
of
the
the
the

1911
The
of
the
the
the

87

Przed czytaniem umyj ręce!

M. J. Ralska

Świątek stoni

Porówny maty drzewynki i ciwis



BIBLIOTEKA SAMOTORJUM
"PATO"
Nr. 1273

BIBLIOTEKA
BN
NARODNA

I 1563.986

1985 K 1024/109

3 18

3 18





Dzieci w ogródku.

Przed czytaniem umyj ręce!

SWIADA

— Ciociu, ciociu, ty nie nie wiesz, ja mam swój ogródek, swój własny mały ogródek!

Tak wołała Zosia, wbiegając do pokoju cioci a skacząc i klaszcząc w ręczki radośnie, mówiła dalej:

— Mama powiedziała, że ja już jestem duża, bo już pięć lat skończyłam i potrafię dopilnować ogródka. A jaki prześliczny ogródeczek darowała mi mama! Całe trzy grządeczki, tam obok tej starej gruszy, gdzie ławeczka stoi. Ja się tak bardzo, bardzo ucieszyłam, bo ja tak lubię kopać, sadzić kwiateczki, polewać, wrywać ziółka

niepotrzebne; to taka zabawna, wyborna robota.

— A ja ci pomagać będę — powiedziała ciocia—bo ja także bardzo lubię takie roboty. Chodźże teraz i pokaż mi swój ogródek.

Zosia znów podskoczyła z radości, pocałowała ciocię z dziesięć razy i dopiero spostrzegła, że kapelusik jej zsunął się z główki i spadł na ramiona, ale się na wstążce zatrzymał. Więc rozwiązała wstążeczkę ostrożnie, żeby jej nie zaciągnąć, i poprawiła kapelusz na główce, a ciocia tymczasem wzięła parasolik i wyszły do ogrodu.

Zosia pomknęła naprzód tak prędko, że ciocia za nią zdążyć nie mogła, ale po chwili obejrzała się, a widząc, jak ciocia daleko w tyle została, podbiegła do niej napowrót i podała jej rączkę, mówiąc:

— Trzymaj mnie, ciociu, bo znów mnie chęćka weźmie odbiedz od ciebie.

Gdy przyszły do ogródka, ciocia usiadła na ławeczce pod gruszą, a Zosia zaczęła oglą-

dać ze wszystkich stron swoje grządeczki. Jeszcze na nich kwiateczków nie było, ale mama obiecała dać Zosi nasionek, pozwoliła jej nawet całe krzaczki różnych roślinek poprzესadzać z dużego ogrodu, a ciocia miała jej pokazać, jak to się robi. Przy tej robocie wybornie rozmawiać można. Ciocia takie ciekawe rzeczy opowiadać umie, Zosia tak lubi je słuchać, a i sama szczebiotać potrafi. Zaraz też sobie gwarzyć zaczęły w najlepsze.

Zosia. Patrz, ciociu, trzeba tu najprzód wydeptać więcej ścieżek, potem grządeczki przekopać. Na taczce przywiezie się piasku, tego ładnego, żółtego i ścieżeczki się usypie. Tu pod gruszą będzie koneweczka stała; poproszę ładnie ogrodnika Pawła, to mi w nią codzień naleje wody. Jak przesadzimy kwiatki, trzeba je będzie polewać, bo inaczej zwiędną i zginą. Obaczysz, ciociu, jak ja będę pamiętała o swoich kwiateczkach. Śliczniez tu będzie, ślicznie w ogród-

ku; jabym tu cały dzień siedziała i patrzyła na to.

Ciocia. Ślicznie tu jest, to prawda, ale możeby ci się jednak uprzykrzyło patrzeć przez cały dzień tylko na te grządeczki, na ścieżki żółtym piaskiem usypane i na gruszę starą.

Zosia. Co też ty mówisz, ciociu; alboż tu ztąd nie widać nic więcej? Patrz, tylko główkę podniosę, a zaraz widzę dom nasz cały i podwórze, i gołębnik, a jak wskoczę na ławeczkę, obaczę nawet i wieś, i gościniec, i groblę.

Ciocia. To jeszcze nie wielkie rzeczy; ja potrafię dokazać takiej sztuki, że z tej samej ławeczki ujrzysz kraje dalekie, w których nie byłaś nigdy i nigdy może nie będziesz. Obaczysz tam różne rzeczy osobliwe, różne dziwne zwierzęta i rośliny, obaczysz morze i żeglujące po niem okręty, i cały piękny świat Boży. Czy chcesz, Zosieńko, żebym ci pokazała to wszystko?

Zosia. O, to już chyba żartujesz, ciociu kochana; jakże ja mogę to wszystko ztąd obaczyć? Toż i ty nawet przez swoje okulary nie więcej nie widzisz, tylko dom i podwórze, i wioskę.

Ciocia. Poczekaj, poczekaj, ja ciebie przekonam, że oprócz tego, możemy obie widzieć coś więcej. Wszak mamy tu niema, ale pomyśl tylko o niej, a zaraz ją w myśli obaczysz tak wyraźnie, jak gdyby tu stała. Gdy ja odjadę daleko, ty przecież pamiętać o mnie będziesz, a ile razy wspomnisz swoją ciocię, ujrzysz ją przed sobą natychmiast, chociaż jej tu nie będzie na prawdę.

Zosia. Ach, ciociu, dobrze ty mówisz! Ja nawet spróbuję, zamknę oczki, ot tak; już one teraz nie nie potrafią obaczyć, a ja jednak widzę, naprawdę widzę cioteczkę, mamę i każdego, o kim tylko pomyślę. Moja ciociu, czy to ja mam drugie jakie oczki?

Ciocia. Zapewne, że masz — i nawet lepsze od tych pierwszych. Bóg ci dał

duszę, która umie pojmować takie rzeczy, których widzieć nie możesz. To, co ty nazywasz drugimi oczkami, my, starsi, nazywamy wyobraźnią. Cóż, czy wierzysz już teraz, że w tym małym ogródku, nie wstając z tej ławeczki, możesz obaczyć cały świat Boży?

Zosia. Teraz już rozumiem. Ja nawet wiem, jak to będzie. Kiedy się już w ogródku skończy pilniejsza robota i usiądziemy na ławeczce, żeby sobie odpocząć trochę, ty, ciociu, zaczniesz opowiadać o różnych, różnych osobliwościach, a ja będę słuchała i temi oczkami prawdziwymi będę patrzyła na ciebie, a te drugie, co je mam w duszy, obaczą tymczasem mnóstwo ciekawych rzeczy. Jakże to wybornie, moja ciociu, że ci to przyszło do głowy.

Ciocia. A ja potem w swoim pokoju napiszę to, co tu będziemy mówiły i jak pojedę do Warszawy, każę to wszystko wydrukować w ładnej książeczce z obrazkami, żeby

i inne grzeczne dziewczynki mogły posłuchać naszej rozmowy.

Zosia. O, jakże to ślicznie będzie, moja ciociu! I ty to zrobisz naprawdę, ty nie żartujesz? Jakże to zabawnie! Warszawskie dziewczynki będą wiedziały, jak ja się nazywam i że mam swój własny ogródek, i wszystko, co my tu z ciocią mówimy.

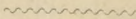
Ciocia. Tak, niezawodnie. Ale ja powiem także warszawskim dziewczynkom, że moja Zosieńka bardzo grzeczna. Pamiętajże, żeby tak było zawsze, bo ciocia niemożaby w książeczce drukować nieprawdy, a wstydyby jej było o swojej kochanej dziewczynce powiedzieć co innego.

Zosia. Nie bój się, ciociu, ja będę bardzo grzeczna i tu, i w książeczce. Ale cóż ty tam o mnie napiszesz?

Ciocia. Najprzód napiszę wierszyki, które mi właśnie przyszły do głowy; posłuchaj:

W małym ogródku, dziewczynka mała,
Sadziła ziółka, kwiatki chowała.

Żwawa, ochocza, piosenkę śpiewa,
I drobną rączką ziarnka zasiewa.
Porusza ziemię, polewa wodą,
Chroni od skwaru roślinkę młodą.
Potem po pracy odpocząć rada,
Więc na ławeczce przy cioci siada.
A ciocia zaraz coś jej tam prawi,
Troszkę nauczy, troszkę zabawi.
Śliczne to rzeczy i osobliwe,
A i bajeczki zawsze prawdziwe.
Bo nie o czarach, ani o wróżce,
Ale o trawce, o drobnej muszce,
O ziarnkach piasku, wody kropelce.
I o robaczku i o muszelce.
Czasem, nie wstając ze swej ławeczki,
W dalekie kraje robią wycieczki.
A choć to taki ogródek mały,
Dziecię w nim widzi świat Boży cały.



II.

Nazajutrz Zosia przekopała całą grządeczkę i z pomocą cioci zasadziła kilka krzaczków lewkonii, a przy tój robocie ciągle sobie rozmawiały wesoło.

Zosia. Żeby to ta lewkonia już prędzej zakwitła. Mama mówiła, że jeszcze parę tygodni poczekać trzeba. Teraz nawet pączków niema ani śladu. I zkąd to wszystko się tu weźmie, i pączki i śliczne kwiateczki kolorowe. Że też to niepodobna widzieć, jak ziółko rośnie. Nieraz sobie uklęknę przy jakiej roślince, tak długo, tak uważnie się przypatruję i nic a nic nie widzę, tylko zawsze jednakowiuteńkie listeczki. A jednak, jak potem przyjdę w kilka dni, zawsze obaczę coś nowego. Jedne listeczki urosły znacznie, drugie, nowe, wyskoczyły Bóg wie zkąd. Ciociu, czy to wszystko w nocy wyrasta?



Ciocia. Rośliny rosną w dzień i w nocy, ale bardzo powoli się powiększają. Spójrz na mój zegarek. Widzisz na nim dwie wskazówki, jedną większą, drugą mniejszą. Przypatrz się dobrze, a obaczysz, jak ta większa powoli się posuwa. Mniejsza wygląda zupełnie, jak gdyby na jednym miejscu stała, a jednak i ona musi się poruszać, kiedy co godzina jest na innym znaku. Ta wskazówka daleko prędzej przecież postępuje, aniżeli wyrastający listeczek i coś dziwnego, że ty tego widzieć nie możesz.

Zosia. Teraz już wiem, ale jeszcze nie wszystko. Widzisz, ciociu, co innego wskazówka, a co innego roślinka. Wskazówki na twoim zegarku wędrują sobie naokoło, ale zawsze jednakowo wyglądają, jedna dłuższa, druga krótsza. Roślinka na jednym miejscu siedzi, a ciągle się powiększa. Ni ztąd ni zowąd wyskakują nowe listeczki, potem pączki, a w tych pączkach z początku nie ma ciekawego. Ja ci nawet coś powiem

zumieć, co to jest przyroda, a co sztuka. Przyrodą nazywamy wszystko, co Pan Bóg stworzył na ziemi, a to co człowiek zrobi, nazywa się sztuką. W przyrodzie możemy odróżnić minerały, czyli martwe rzeczy, rośliny i zwierzęta. Otóż mamy trzy państwa przyrody, państwo minerałów, państwo roślinne i państwo zwierzęce. Wiesz już, że Pan Bóg to wszystko stworzył z niczego, ale człowiek z niczego nic zrobić nie może, musi zawsze znaleźć w przyrodzie jakiś materiał do swojej roboty. Twój rydelek naprzykład jest robotą człowieka.

Zosia. I nie jednego, ciociu, ale dwóch. Stolarz zrobił trzonek drewniany, a kowal wykuił w kuźni żelazne ostrze.

Ciocia. A teraz pomyśl dobrze i powiedz, z jakiego to oni państwa przyrody wzięli materiał na ten rydelek?

Zosia. Aż z dwóch państw, ciociu; drzewo należy do państwa roślin, a żelazo, to

już niezawodnie minerał i teraz śmiać się ze mnie nie będziesz. Zaraz ci nawet powtórzę te wszystkie zabawne nazwy. Ta grusza, to jest przyroda, a ławeczka, to już sztuka, chociaż i to i to drzewo. Ale grusza rośnie, tak jak ją Pan Bóg stworzył, a ławeczkę stolarz zrobił. Cóż, czy nie dobrze powiedziałam?

Ciucia. Bardzo dobrze, widzę, że zrozumiałaś. Powiedzże mi coś jeszcze o trzech państwach przyrody.

Zosia. Kiedy już wszystko mówiłam, o piasku, o kamyczkach, o rydelku, więcej tu już nic niema w ogródku.

Ciucia. Możemy jeszcze obejrzyć nasze ubranie. Wszystko to są materiały wzięte z przyrody, bo wiemy, że każda rzecz była wprzód przez Boga stworzona, a później dopiero przerobiona przez ludzi.

Zosia. A prawda. Zaczynajmyż od trzewiczków. Skórka jest z jakiegoś biednego bydlatka, ono kiedyś żyło i należało do pań-

stwa zwierząt. Pończoszki są z bawełny zrobione, a koszulka z płótna. Płótno robi się z nici, a nici z lnu. Len to taka roślina, zasiewa się w polu i ma niebieskie kwiateczki. Bawełna to także takie nici, nieprawdaż, ciociu?

Ciocia. Tak, ale nie robi się z lnu. Bawełna jest także rośliną, wygląda jednak zupełnie inaczej i rośnie tylko w gorących krajach. Później opowiem ci o niej więcej.

Zosia. Ach, moja ciociu, toż ja cała jestem ubrana w państwo roślinne; trzebaby tylko zdjąć trzewiczki. Pończoszki i perkallowa sukienka, i fartuszek, wszystko to jest z bawełny, koszulka z nici, kapelusik ze słomy. Ty za to, cioteczko, od stóp do głowy ubrana jesteś w państwo zwierzęce, bo masz suknię wełnianą. Coś tam troszkę i roślinnego masz na kołnierzyku i rękawkach.

Ciocia. Poczekaj, masz i ty jedwabną przepaskę, i jedwabne wstążeczki u kapelusza.

Zosia. Jedwab... pamiętam, pamiętam, mama mówiła, że jest taka dziwna liszka, co umie prząść śliczne, jedwabne niteczki. Ja nigdy takiej liszki nie widziałam, choć tu w ogrodzie jest ich mnóstwo.

Ciocia. O tych liszkach pomówimy także obszerniej inną razą. Ale ty masz jeszcze koraliki i krzyżyk złoty.

Zosia. Ach prawda, a ty, ciociu, zegarek, łańcuszek, kiamerkę stalową. Wszystko to należy do państwa minerałów, tak jak mój krzyżyk i koraliki.

Ciocia. Wszystko, oprócz koralików. Jak myślisz, z kąd się bierze materyał, z którego te ładne, czerwone paciorki są zrobione?

Zosia. Czy ja wiem, ciociu; chyba rośnie, albo się z ziemi wykopuje.

Ciocia. Nie, wydobywa się z morza. Morskie zwierzątka, żyjące pod wodą, wyrobiły materyał na twoje koraliki, tak jak liszki jedwab uprzedły.

Zosia. O, moja ciociu, jakże to zabawnie pomyśleć, że na moje ubranie takie różne dziwne zwierzątka pracowały.

Ciocia. A teraz chodźmy na obiad. Po obiedzie znów sobie pogawędzimy w ogródku.

III.

Po obiedzie, kiedy już upał ustał, Zosia poszła polewać kwiatki zasadzone w ogródku, zasiała także nasionka rzedy, które dostała od mamy. Ciocia pokazała jej, jak to się robi. Najprzód więc rozsypała ziareczka na grządeczce świeżo przekopanej, potem małymi grabelkami poruszyła lekko ziemię, ażeby je przykryć, bo inaczej wiatr zdmuchnąłby nasionka, ptaszeczkiby je wybierały i nie wyrosłaby wcale rzeda. Potem zaczęły z ciocią rozmawiać.

Zosia. Jak też to zabawnie, że z tych malutczkich ziareczek takie duże krzaczki powyrastają. Szkoda tylko, że na to tak długo czekać potrzeba. Ale ja zapomniałam, cioteczko; toż właśnie zrana miałaś mi opowiedzieć, z kąd to się biorą w ziółkach nowe listeczki, i kwiatki i wszystko. Potem zagadałyśmy się o różnych zabawnych rzeczach i poszłyśmy na obiad a o najciekawszej rzeczy zapomniałyśmy obie.

Ciocia. Ja wcale nie zapomniałam, tylko chciałam, żebyś mnie łatwiej zrozumiała i dla tego wprzód ci wytłumaczyłam, co to są trzy państwa przyrody. A teraz, czy ty wiesz, co to jest fabryka?

Zosia. Wiem, wiem, ciociu. Fabryka, to jest taki dom, gdzie się robią różne potrzebne rzeczy. W fabryce jest zawsze dużo robotników, ciągle coś noszą, stukają, krzyczą.

Ciocia. Zkądże ty to wszystko wiesz; czy widziałaś kiedy jaką fabrykę?

Zosia Ja nie widziałam, ale Marylka widziała, bo ona jeździła ze swoją mamą do swego wujaszka, a ten wujaszek ma taką fabrykę, gdzie robią sukno. Marylka chodziła tam kilka razy z wujaszkiem i mnie to wszystko opowiadała.

Ciocia. Takich fabryk jest bardzo dużo na świecie, a w każdej co innego robią. W jednej naprzykład samo szkło i różne szklane rzeczy: karafki, szklanki, kieliszki, szyby do okien; w drugiej znów porcelanę, talerze, półmiski, filiżanki; w innych wyrabiają rozmaite materye: jedwabne, wełniane, lub bawełniane. W każdej fabryce muszą wprzód przygotować stosowne materyały, a potem różnemi sztucznemi sposobami wyrabiają z nich użyteczne przedmioty. I tak: w tej fabryce sukna, którą Marylka widziała, muszą mieć zapasy wełny; do innych wyrobów, innych też potrzeba materyałów. A teraz ja ci opowiem o fabryce odmiennego zupełnie rodzaju, o fabryce cudownej, gdzie z jednych

i tych samych materyałów, i to wcale nie osobliwych, wyrabia się niezliczone mnóstwo rozmaitych skarbów najszacowniejszych. Żeby tej fabryki nie było, ludzie nie mogliby żyć.

Zosia. Ach, ciociu, ja nie o takiej fabryce nie wiem. Gdzież ona jest, czy bardzo daleko od nas?

Ciocia. Dowiesz się zaraz. Najprzód ci powiem, jakie tam materyały wchodzą do składów owej cudownej fabryki. Bardzo proste i pospolite, niema co nawet długo wyliczać; ziemia, glina, piasek i inne takie martwe rzeczy, należące, jak wiemy, do państwa minerałów. Dodaj do tego wielką obfitość wody, tak, żeby się to wszystko mogło w niej rozpuścić doskonale. Nie koniec na tem, bo do tej samej mieszaniny wchodzą jeszcze gorsze rzeczy, takie rzeczy brzydkie, cuchnące, że zbliżając się do nich, trzeba sobie nos zatykać: ten nawóz, co to go zwykle ze stajni i z chlewów wywożą, różne najbrzydliwsze

wyiewy. I jak myślisz, co też z tych wszystkich materiałów wyrabia się w cudownej fabryce?

Zosia. Ach, ciociu, to jakieś okropne rzeczy, jakieś paskudztwo. Cóż tam się może z tego zrobić?

Ciocia. Tak myślisz? Otóż ja ci powiem, że z tego paskudztwa wyrabiają się bardzo smaczne, wyborne rzeczy. Ty sama codziennie zajadasz je w najlepsze. Cudowna fabryka wszystkim ludziom dostarcza pożywienia; wszak mówiłam ci, że niemoglibyśmy nawet żyć bez niej.

Zosia. Ciociu, czy to bajeczka taka, czy to naprawdę ta dziwna fabryka jest gdzieś na świecie?

Ciocia. Ta fabryka cudowna odbywa się ciągle w każdej roślinie, i w drobnym ziółku i w ogromnym drzewie, w zbożu, w warzywach i w twoich kwiateczkach. Korzeń rośliny siedzi sobie w ziemi i ztamtąd wciąga materiał potrzebny na liście, kwiaty i owoce.

A cóż on tam znaleźć może? Wszak nieraz grzebałaś w ziemi głęboko, wiesz dobrze, że niema w niej żadnych smacznych rzeczy; ani mąki, ani słodkiego soku, tylko czarne, martwe grudki, które się w pył rozsypują, gdy są suche. Ale gdy Bóg ześle deszczyk i ziemia rozmięknie, różne znajdujące się w niej minerały rozpuszczają się w wodzie, a korzeń wciąga ten płyn w siebie. Potem ten sok dobroczynny podnosi się, płynie aż do wierzchołka rośliny i znów tą samą drogą powraca, przepływa z góry na dół, wchodzi w gałązki, w liście i wszędzie dodaje po trochę materiału. Ale gdy raz się dostanie do środka rośliny, zaraz się w niej przerabia prawdziwie cudownym sposobem, bo z tych wszystkich minerałów martwych, bez smaku, z tych rzeczy brzydkich i cuchnących, wyrabia się mnóstwo rozmaitych przysmaków. W każdym ziółku, z tegoż samego soku, który w niem krąży od dołu do góry, ileż to różnych odmiennych części powstaje. Łodyga, gałę-

zie, liście, kwiaty, nasiona. Widzisz, jak w tym samym ogrodzie, na tym samym gruncie, wyrastają i drzewa owocowe, i warzywa i różne chwasty, a wszystko to jeden i ten sam pokarm znajduje w ziemi.

Zosia. Jakto pokarm, cioteczko? Alboż roślinki się karmią?

Ciocia. A tak, inaczej nie mogłyby żyć; wszystko co żyje potrzebuje pokarmu. My jednak nie możemy się żywić martwymi minerałami, i nie tylko my, ale żadne zwierzę, ani muszka, ani robaczek najdrobniejszy. Cóż byłoby, żeby Bóg dobry nie stworzył roślinek? Te kochane roślinki tem właśnie się karmią, czego my jeść nie możemy; martwe minerały wciągają z ziemi, z powietrza znów pochłaniają różne wyziewy i wszystko to się przerabia w korzeniach ich, w łodygach; w nasionach, tak że się znów dla nas staje wyborynym pokarmem. Widzisz, że bez tych roślin pocziwych, bez tej cudownej fabryki, nie moglibyśmy żyć.

Zosia. Jakże to dobrze moja ciociu, że ja się ciebie zapytałam o to. Nigdybym, nigdy nie odgadła sama takich dziwnych rzeczy. Teraz już wiem, z kąd ty bierzesz liścieczki i pączki, ty moja śliczna lewkonio, i ty mój goździczku, i ty rezedko mała. Nalałam wam dosyć wody, możecie się napić do woli tej swojej miksturki, żeby mi fabryka szła porządnie, żeby było dużo liścieczków i ładnych kwiatków.

IV.

Ciocia siedziała od chwil kilku na ławeczce pod gruszą, czekając na Zosię, która poszła poprosić ogrodnika, żeby jej nalał wody w koneweczkę ze swojej dużej konewki. Ale Zosia nie powracała i ciocia niespokojna miała już pójść jej poszukać, gdy wtem spostrzegła ją zdaleka

biegnącą pędem i bez koneweczki. Ciocia pośpieszyła naprzeciwko niej, bo myślała, że jej się co stało, a podchodząc bliżej, przelękała się jeszcze bardziej, bo Zosia była cała splakana i zarumieniona z wielkiego wzruszenia.

— Co ci jest? — wołała ciocia — czy upadłaś, czy się uderzyłaś?

Zosia. Nie, ciociu, nie, mnie się nic nie stało, ale biednym ptaszeczkom! One takie śliczne, takie malutkie. O! niedobry Maciuś, brzydki Maciuś, nigdy już nie będę się z nim bawiła, nie lubię go, niecierpię.

Ciocia. Ale cóż on zbroił, ten biedny Maciuś? za cóż ty się tak gniewasz na niego?

Zosia. Biedny! jeszcze ty, ciociu, będziesz go żałować. To złośnik, to rabuś! Dopiero co widziałam sama, jak zrzucił z drzewa gniazdeczko i wszystkie pisklęta podusił. Nie mogłam mu wydrzeć ani

jednego, bo i mnie groził swojemi ostremi pazurami. Nie, nie, niechcę się z nim bawić, nie chcę patrzeć na niego!

Ciocia. Ja ci także radzę, żebyś się z Maciusiem nie bawiła, bo z kotem lepiej zawsze być zdaleką; ale gniewać się na niego nie masz o co. Czy ciebie kto nazywa rabusiem, albo złośniczką, gdy z takim smakiem zajadasz u stołu kurczęta?

Zosia. Ach, ciociu, co też ty mówisz! Pieczone kurczęta są nieżywe i już ich nie boli. Czyż jabym mogła pastwić się nad żywym kurczątkiem, rozdzierać je, dusić, tak jak ten niegodziwy Maciuś. Wolałabym nigdy, nigdy nie jeść pieczonego, ani potrawki.

Ciocia. To już chyba kucharz Wawrzyniec jest rabusiem i złośnikiem, bo on przecież codziennie morduje te biedne, śliczne, żywe kurczątka, żebyś ty miała pieczone i smaczne potrawki.

Zosia. Ach, moja ciociu, ty jakieś okro-

pne rzeczy mówisz, doprawdy, aż przykro słuhać. A może to i niedobrze, że mama każe Wawrzyńcowi mordować te biedne kurczątko. Moglibyśmy się jakoś obejść bez nich. Jedlibyśmy sztukę mięsa, baraninę, kotlety..

Ciucia. Alboż to woły i baranki nie są także biedne, poczciwe stworzenia? Czemużbyś ich także nie miała pożałować?

Zosia. Ach, prawda, ciociu, ja o tem zapomniałam. Jużto najlepiej byłoby jeść same leguminki, bo to i dobre, i żadnego zwierzątko nie trzeba do tego zabijać. Ja to muszę powiedzieć mamie.

Ciucia. Mama się pewnie na to nie zgodzi. Leguminka jest bardzo dobra po innych potrawach, ale moglibyśmy się wszyscy pochorować, żeby nam mama nie dała wprzód czegoś posilniejszego.

Zosia. To ja już nie wiem, doprawdy, co robić. Ja nie chcę być podobną do tego brzydkiego Maciusia. Żebyś ty, cio-

ciu, widziała, jak on wyglądał, kiedy te nieszczęśliwe pisklęta rozdzierał, tobyś go nie bronila. Pfe! okropnie!

Ciocia. Ja także nie lubiłabym patrzeć na to, ale muszę przyznać, że kot nic temu nie winien. Pan Bóg go stworzył zwierzęciem drapieżnem i mięsożernem, dał mu nawet dla tego takie ostre pazury, żeby mógł polować na słabsze zwierzątka. Baranek naprzykład nazywa się trawożernym, krówka także; zwierzęta te karmią się tylko roślinami, są łagodne i mają kopyta zupełnie tępe. Ale kot nie mógłby jeść trawy, bo ma inną naturę, musi też dusić ptaszki i myszy. Żeby był większy i silniejszy, udusiłby i ciebie i mnie, pożarłby nas obie i wcaleby tego za zbrodnię nie uważał.

Zosia. Ciociu, tylko nie mów, proszę ciebie, że mnie Pan Bóg stworzył także mięsożerną i drapieżną, tak jak Macusia, bo to byłoby okropnie.

Ciocia. Nie, nie, Zosieczko, uspokój się,

nie można cię nazwać wyłącznie mięsożerną, bo oprócz mięsa jadasz także chleb i owoce; drapieżną także nie jesteś, kiedy się tak nad biednymi ptaszętami litujesz. Ludzie dla zdrowia potrzebują mięsnych potraw, ale zabijając zwierzęta z konieczności, nie powinni się nad nimi pastwić; to też dziś wszędzie obmyślają różne sposoby, ażeby o ile możności skrócić cierpienia bydła przeznaczonych na rzeź. Sama jednak przyznasz, że te dzieci niedobre, co wydzierają gniazda i zamęczają ptaszki dla okrutnej zabawki, najsluszniej zasługują na nazwę drapieżnych; można nawet powiedzieć, że są drapieżniejsze od kotów, bo czynią to bez żadnej potrzeby, a kot szuka pożywienia.

Zosia. Ciociu, mały pastuszek Jędrus tak robi. Chciał kiedyś wdrapać się na tę wysoką topolę, bo tam było gniazdko z małemi pisklętami; szczęściem mama to zobaczyła i kazała mu zejść w tej chwili i wyłajala go dobrze. Jędrus jest gorszy od Maciusia,

bo Maciuś przynajmniej nie ma rozumu. Nieprawdaż, ciociu?

Ciocia. Zapewne. Zwierzęta ulegają swoim popędom, to znaczy, że kiedy im się chce czegoś bardzo, nie umieją się od tego powstrzymać, i nawet nie pojmują, że to, co im sprawia przyjemność, może być złe. Baranek dla tego tylko jest łagodny, że niema drapieżnych popędów kota. Człowiek ma rozmaite popędy, złe i dobre, ale człowiek ma rozum i wolę, może też przewyciężyć w sobie popędy do złego. Wszystkie na świecie baranki są łagodne, a wszystkie koty drapieżne, bo ulegają swojej naturze, ale ludzie mogą być łagodni, jak baranki, albo drapieżni, jak koty, zależy to od tego, jakich popędów słuchają. Malutkie dzieci są takie zupełnie jak zwierzątka. Krzyczą, napierają się wszystkiego, nikt też się na nie nie gniewa, bo one się wstrzymać od tego nie umieją. Ale jak tylko podrosną i pojmować zaczynają, co się w około nich dzieje, zaraz też powinny się

uczyć panować nad swojemi popędami, żeby i na później nie zostały zwierzątkami.

Zosia. Ciociu, nasz poczciwy pies Żuczek umie zwyciężać swoje popędy, nigdy nie dotknie bez pozwolenia ani bułeczki, ani masła na stole, chociaż pewnie mu się nieraz jeść chce.

Ciocia. Żuczek musiał być za młodu do tej wstrzemięźliwości przyuczony. Nieraz zapewne, gdy dotknął czego bez pozwolenia, dostał różeczką i przekonawszy się, że to później boli, kiedy się coś ze stołu sciągnie, zaczął się od tego wstrzymywać. Wiesz dobrze, że bywają i dzieci, z którymi podobnego sposobu używać trzeba, ażeby je od złych nałogów odzwyczaić. Wielki to wstyd dla tych dzieci, widać, że nie są wcale rozumiejsze od zwierzątek.

Zosia. Ciociu, chodźmy już do pokoju, bo ty zaczynasz coś nieładnego mówić, a ja tego słuchać nie lubię.

V.

Wieczorem nic już nie przeszkodziło polewaniu w ogródku. Zosia kilka koneweczek wody wylała na swoje grządeczki, a przytem ciągle myślała o tej cudownej fabryce, co się w roślinkach odbywa. Potem znów przypomniała sobie Maciusia i biedne uduszone ptaszeczki. Dziś właśnie na podwieczorek były pieczone kurczęta, ale Zosia ich jeść nie chciała, tylko prosiła mamy, żeby jej dała kaszki z mlekiem i powiedziała do ciotki:

— Już ty sobie co chcesz mów, moja ciotciu; ja wiem, że pieczone, kotlecik, potrawka, to są wszystko bardzo dobre rzeczy, ale do prawdy możnaby się bez tego obejść, byle tylko tych kochanych roślinek było dosyć na świecie i żeby nam w tej swojej cudownej fabryce tak wyborne przysmaki wyrabiały. Powiadasz, że leguminki niezdrowe, ale jarzyny, kaszki rozmaite, toż to są doskonałe rzeczy,

daleko potrzebniejsze od mięsa, nieprawdaż, ciociu? O, Maciuś, to co innego, on nie dba o nic, dla niego to byłoby wszystko jedno, żeby nawet żadnej rośliny nie było na świecie.

Ciocia. Bardzo się mylisz, moja Zosiu; najdrapieżniejsze zwierzęta, takie co samem mięsem się karmią, nie mogłyby jednak żyć bez roślin.

Zosia. A pocóż im rośliny, kiedy one ich nie jedzą?

Ciocia. A więc dobrze, gdyby nagle zabrakło roślin na ziemi, kot mógłby zjadać ptaszki, a wilk chwycić owce; ale ciekawa rzecz, czemu się owce żywiły, żeby nie było trawy, a drobne ptaszka, żeby zabrakło ziarna? Wszystko to, coby uniknęło żarłocstwa drapieżnych zwierząt, wyginęłoby z głodu, a wilki i koty musiałyby chyba jeść ziemię i piasek. My jednak wiemy, że żadne zwierzę, ani muszka, ani robaczek, nie może się żywić martwymi minerałami.

Zosia. Ach prawda, ciociu, prawda. Teraz dopiero rozumiem, dla czego to ty mówiłaś, że ani ludzie, ani zwierzęta bez tej cudownej fabryki nie mogliby żyć.

Ciocia. Widzisz, jak to trzy państwa przyrody w zadziwiający sposób podtrzymują się jedno za pomocą drugich. Woda, powietrze, różne minerały w ziemi ukryte, wchodzą do roślin i przemieniają się w nich w coś całkiem innego, z martwych stają się żyjącymi. Ludzie i zwierzęta karmią się znów roślinami. Wieszże, czem jest dla nich pokarm? Ty naprzykład, Zosieczko, rośniesz także, tak jak roślinka, chociaż także bardzo nieznacznie. Mama jednak musi ci często przedłużyć sukienki i coraz większe trzewiczki kupować. Oto tak, jak w roślinach liście, kwiaty i owoce powstają z tego soku, co do nich wchodzi przez korzenie, tak i tobie z tych pokarmów, które zjadasz, wyrastają powoli nóżki, rączki i całe ciało.

Zosia. A to dopiero zabawne! Więc żeby

mi mama jeść nie dawała dowoli, tobym nie wyrosła i zawsze byłabym taka mała?

Ciocia. Przynajmniej schudłabyś bardzo, jeśliby ci się co gorszego nie stało.

Zosia. Ale, moja ciociu, toż tylko dzieci rosną. Ty naprzykład mówiłaś właśnie wczoraj, że już bardzo dawno rość przestałaś.

Ciocia. Uważasz więc, że niepowinnabym i jeść. Trzeba ci jednak wiedzieć, że ciało ludzkie nieustannie, się odnawia, chociaż także bardzo nieznacznie, i widzieć tego nie możemy. Tak jak paznokcie ciągle nam wyrastają i musimy je obcinać od czasu do czasu, tak i we wszystkich innych częściach ciała przybывают coraz nowe materyały, a dawne, zużyte, różnemi drogami odchodzą. Jak będziesz trochę starsza, dowiesz się o tem daleko więcej z ciekawej książeczki pod tytułem: *Historja kęsa chleba.*

Zosia. O, mój Boże, to w nas także jakaś cudowna fabryka się odbywa, tylko że do tamtej, co w roślinach, bierze się woda z róż-

nemi minerałami, a do naszej trzeba koniecznie bułeczki, kaszki, mleka, a podobno i pieczystego. A Maciuś, to już taką ma okropną naturę, że mu najlepiej smakują rozszarpane i pokrwawione ptaszęta. Jak to dobrze, że on już nie rośnie, ten drapieżny Maciuś, bo jeszczeby i mnie rozszarpał i pożarł, gdyby był większy i silniejszy. Nieprawdaż ciociu?

Ciocia. Co do Maciusia, możesz być spokojna, on na ciebie zębów nie ostrzy, woli polować na myszy i drobne ptaszęta, które z łatwością pokonać może. Ale gdybyś mieszkała w gorących krajach, na przykład w jakiej indyjskiej wiosce, w Azji, niemogłabyś tak spokojnie i bezpiecznie pracować w swoim ogródku. Tam żyją koty ogromne, straszliwe, a tak silne, że nie tylko dorosłego człowieka, ale największego konia lub wołu powalają o ziemię jednym uderzeniem potężnej swojej łapy. Maciuś wyglądałby przy takim kocie tak, jak malutka myszka wygląda przy Maciusiu.

Zosia. Wiem już, wiem, ciociu, o jakich kotach mówisz: te się nazywają tygrysy. Ja mam takiego tygrysa na obrazku w książeczce. Doprawdy, bardzo podobny do Maciusia, a jeszcze podobniejszy do Kizia, tego kota, co to zawsze w kuchni siedzi na piecu, i takie ma centkowane futerko. Ach, jaki on musi być straszny, ten tygrys, jak to dobrze, moja ciociu, że ja się nieurodziłam w Azji. Ale powiedz mi, czy Maciuś i Kizio, żeby się tam dostali, takżeby tak okropnie powyrastali, i byłiby tygrysami?

Ciocia. Broń Boże; nasze koty domowe mogłyby tylko zdziczeć trochę, nietylko w Azji, ale i w Europie, gdyby się na czas dłuższy przeniosły do lasu; nigdy jednak nie zamieniłyby się w tygrysy. Widzimy nieraz zwierzęta bardzo podobne do siebie z ogólnej postaci, ze sposobu życia, a pomimo to wcale nie jednakowe. Nawet mała dziewczynka zrozumie od razu, że nasz Maciuś podobniejszy jest daleko do ogromnego tygrysa azyatyc-

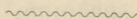
kiego, aniżeli do baranka lub prosiątka. Maciuś zakrada się i czatuje na swoją zdobycz, a gdy upatrzy myszkę nieostrożną, lub biednego ptaszeczka, rzuca się, skacze gwałtownie, chwytając słabe stworzenie ostremi pazurami i chciwie pożera. Tygrys ma także podobne pazury, tylko daleko potężniejsze; tak zupełnie jak Maciuś, gdy stąpa po ziemi, umie je bardzo zręcznie ściągać i chować, żeby się nie przytępiły, a w razie potrzeby je wysuwa. Tygrys czatuje także na zdobycz, zwykle przy źródłach, gdzie trzody bydła dzikich lub domowych przychodzą pić wodę. Często wdrapuje się na drzewa i z tamtąd potężnym susem rzuca się na kark bawołu, konia lub lęklivej sarny. Małe tygrysięta rodzą się ślepe, tak zupełnie, jak te kociątka, które wczoraj oglądałaś w kuchni, ale dzieci Maciusia nie będą nigdy czem innem, tylko małemi, domowemi kotami, a tygrysiki, nawet gdybyśmy je tu w kuchni na piecu wychowali, zawszeby wyrosły na prawdziwe tygrysy.

Zosia. O nie, ciociu, broń Boże! jabym za nic nie chciała, żeby one się tu w kuchni chowały. Niech już sobie tam siedzą w swojej Azji, a u nas niech będą tylko na obrazkach.

Ciocia. Bądź spokojna, ja nie myślę wcale sprowadzać z Azji tygrysiąt, a kocięta wyrosną niezawodnie tylko na naszych zwyczajnych Kiziów i Macusiów, bo wszystkie należą do jednego gatunku kotów domowych. Oprócz tygrysów, są jeszcze i inne wielkie koty, które przebywają w różnych częściach świata. Masz je wszystkie w tej dużej książce z obrazkami, którą dostałaś od dziadunia. Każdy gatunek inaczej się nazywa; najznacniejsze są lwy, pantery, lamparty, rysie, jaguary. Wszystkie te zwierzęta, tak podobne do siebie z postaci i drapieżnych obyczajów, nazywają jedną rodziną kotów.

Zosia. Rodziną? Jakże to się zabawnie nazywa. Tak, jak gdyby kto powiedział, że tygrys jest stryjaskiem naszego Macusia,

lew wujaszkiem, a pantera ciocią... Ach, co też ja powiedziałam! Ta straszna, drapieżna pantera niemoże się nawet żartem tak nazywać, jak moja dobra, kochana, najdroższa ciocieczka.



VI.

Mama przez cały ranek zajęta była smażeniem konfitur. Robota ta odbywała się w ogrodzie, gdzie był umyślnie do tego urządzony piecyk, bo mama nie mogła znieść wielkiego gorąca w kuchni. Zosia bardzo lubi patrzeć, jak się smażą konfitury, ale że mama nie pozwalała jej stać długo przy ogniu, żeby ją główka nie bolała, więc posłuszna dziewczynka parę razy tylko na chwilkę przybiegła tam ze swojego ogródka. Trafiła właśnie na to, kiedy usmażone już konfitury przelewano z kociołka w ogromną wazę, którą za-

raz służąca odniosła do pokoju mamy, żeby tam konfitury ostygły, nim się ponakładają w słoiki. Jak też one smacznie w tej wazie wyglądały! Zosi przyszło na myśl, jakby to dobrze było, żeby je tak podali na obiad, zamiast rosółu. Powiedziała to cioci, gdy powróciła do ogródka, ale ciocia roześmiała się, mówiąc, że rosół daleko jest zdrowszy. Po chwili Zosia pobiegła znów po coś do pokoju, niezadługo jednak powróciła i już porządnie się zabrała do roboty w ogródku. Ciocia, patrząc na nią, spostrzegła, że miała jakąś niezwykłą minkę, uśmiechała się sama do siebie, na ciocię spoglądała, jak gdyby jej chciała coś powiedzieć, ale nic nie mówiła, aż wreszcie ciocia zapytała:

— Co to za minki stroisz, moja Zosiu, czy ci się co przytrafiło? cóż tam robiłaś w pokoju? Pewnie nic niegrzecznego, bo się uśmiechasz i śmiało patrzysz mi w oczy.

Zosia. O nie, ciociu, nie niegrzecznego. Ja ci zaraz opowiem, co mi się wydarzyło.

Pobiegłam do pokoju mamy, bo miałam wielką ochotę popatrzeć na te wyborne konfitury; one tak prześlicznie wyglądają w tej ogromnej wazie. W pokoju nikoguteńko nie było, ja się wdrapałam na krzeselko, patrzę, aż tu łyżka leży tuż obok wazy. Żebyś wiedziała, ciociu, jak mi się bardzo chciało zjeść choć trochę tych konfiturek. Myślałam sobie: tak dużo ich jest w tej wazie, mama pewnie nie pozna, już nawet wzięłam łyżkę do ręki. Ciekawa rzecz, czy też z tej dużej łyżki tak samoby smakowały, jak z małej?

Ciocia. Ja myślę, że tak samo. Ale cóż się dalej stało? zapewne ktoś wszedł i niemo-głaś spróbować?

— *Zosia.* O, nie zgadłaś, ciociu: nikt nie wchodził i można było się najeść doskonale, ale mnie się czegoś tak dziwnie zrobiło, tak jakoś straszno, jakby mnie ktoś za rączkę trzymał i szeptał do uszka: Wstydz się, brzydko brać bez pozwolenia, ukradkiem. Przypomniałam też sobie zaraz to, co opowiadałaś

o Maciusiu i o wszystkich zwierzątkach i o małych dziecinkach, że kiedy im się czegoś zechce, to się nie umieją wstrzymać, choćby to było coś złego. Ale ja już nie jestem taka malutka i nie chcę być do zwierzątka podobna, ja umiem swoje popędy przewycięzać. Wszak to tak się mówi, nieprawdaż, cioteczko? I widzisz co się stało; położyłam łyżkę napowrót na stole, uciekłam przedmiotko z pokoju, a teraz taka jestem rada, bo spotkałam mamę, i mama powiedziała, że mi da pokosztować konfitur jak będą je nakładać w słoiki. Ja wtenczas daleko lepiej się najem i niczego bać nie będę.

Ciocia. Widzisz, moja Zosiu, jak to dobrze, żeś usłuchała tego głosu wewnętrznego, który cię ostrzegął i wstrzymałaś się od złego.

Zosia. Moja ciociu, czyż to naprawdę jakiś głos mówił do mnie? Czy ja mam i uszki jakies drugie, co słyszą coś więcej od tych zwyczajnych, tak jak te oczki, co tak daleko

widzą? Bo to zawsze, jak tylko mi się chce coś złego zrobić, zaraz, jakby jakaś ja druga zaczyna mi szeptać cichuteńko, że to brzydko, że to niemożna, aż czasem bierze mnie chęćka zapytać: zkądże ty to wiesz?

Ciocia. Pan Bóg dał wszystkim ludziom rozumną duszę, która umie wybornie odróżnić złe od dobrego, a ten głos wewnętrzny, co to nas zawsze przestrzega, kiedy mamy ochotę do złego, nazywa się sumieniem. Jakżebyśmy inaczej mogli złe nasze popędy przewycięzać? Mnsimy wprzód koniecznie wiedzieć, co jest dobre, a co złe. Przypomnij sobie raz jeszcze dzisiejsze swoje zdarzenie z konfiturami. W pokoju nie było nikogo, a jednak tobie się zdawało, że nie jesteś sama. O, bo też nie byłaś sama, tam był Bóg, On patrzył na ciebie, On myśli twoje widział. Ty Go obaczyć nie mogłaś, ale dusza twoja czuła Jego obecność, i dla tego to właśnie przelękną się, sama nie wiedząc czego. Pan Bóg wiedział także, żeś usłuchała głosu sumienia, to jest, żeś usłu-

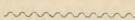
chała Boga, bo ten głos od niego pochodzi, można też powiedzieć, że jest głosem Bożym. Dla tego teraz jesteś tak wesoła i szczęśliwa, bo czujesz, że Pan Bóg jest z ciebie zadowolniony.

Zosia. O, ciociu, ja zawsze już będę słuchała tego dobrego głosu, bo to tak potem przyjemnie, tak miło. Gdybym się była najadła konfitur bez pozwolenia, już teraz nie miałabym nawet smaku słodkiego w ustach, i czy to warto...

Ciocia. Słodycz przeminęłaby bardzo prędko, ale pamięć tego, żeś zły uczynek popełniła, została by ci na długo, bo sumienie przypominałoby ci to co chwila.

Po obiedzie, mama nakładała konfitury w słoiki i pozwoliła Zosi patrzeć na to przez cały czas, dała jej pokosztować każdego gałtunku, a ciocia przyniosła dużą łyżkę, żeby Zosia zobaczyła, czy tak samo jak z małej smakować z niej będą konfitury. Zosia roze-

śmiała się i ciocia także, a mama zapytała, z czego się tak śmieją. Ciocia opowiedziała całe zdarzenie, i mama bardzo się ucieszyła, że ma taką grzeczną córeczkę.



VII.

Wieczorem, kiedy już Zosia wszystkie roślinki podlała i postawiła próżną koneweczkę pod drzewem, ciocia powiedziała, że jej opowie powiastkę prawdziwą o jednym chłopczyku, którego знаła w Warszawie. Zosia bardzo lubi takie powiastki, szczególnie o grzecznych dzieciach; słuchała więc z wielkiem zajęciem, a ciocia tak mówiła:

Mały Kazio wszedł raz do pokoju taty. Lubił bardzo ten pokój, bo tam na biurku jest mnóstwo pięknych i ciekawych rzeczy, które tata nieraz pozwalał mu oglądać przy sobie. Ale teraz nie było nikogo, ani tu, ani w przy-

ległym pokoju. Kazio jednak nie odszedł, chociaż to byłoby niezawodnie najrozsądniej, tylko wgramolił się na krzesło stojące przed biurkiem i zaczął się przypatrywać tym ślicznym rzeczom, które tam były porozstawiane.

Z początku nie dotykał niczego, bo wiedział dobrze, że tata gniewałby się za to. Ale po chwili chęćka go wzięła pobawić się troszeczkę przesłicznym piaskiem złocistym i kolorowym, przy którym leżała malutka łyżeczka. Kazio widział, jak tata tym piaskiem zasypywał papiery, więc chciał tak zrobić, jak tata; nabierał raz po raz pełną łyżeczkę i nasypywał na wszystkie listy, papiery, a nawet książki, potem kilka łyżeczek wysypał w kałamarz. Chciał także pobawić się lakiem, ale go upuścił przypadkiem i lak się przelamał. Kazio próbował, czy się nie da skleić, złożył kawałki i ścisnął je z całej siły, ale to się na nic nie zdało i tylko się lak znowu połamał na drobniejsze kawałeczki. Przeląkł się nasz

psotnik, a głos wewnętrzny, który od początku szeptał mu ciągle, że nie trzeba było nic ruszać bez pozwolenia, teraz wyraźniej jeszcze go upominał, żeby odszedł natychmiast.

Ale Kaziowi się zdawało, że potrafi jakoś tę szkodę naprawić, a właśnie spostrzegł na biurku pudełko z ładnymi kolorowymi pieczęteczkami. Kazio umiał się z nimi obchodzić, bo tata mu już nieraz podarował taką czerwoną albo zieloną pieczęteczkę; to tylko trzeba poślinić, a zaraz się wybornie przykleja do papieru. Przyszło mu więc do głowy, że można by lak nimi posklejać, ale mu się jakoś nie udawało. Kazio myślał, że się pieczęteczki popsują, spróbował też jedną przykleić na papierze i to mu się wybornie udało, więc jedną po drugiej naklejał na wszystkich listach, a nawet na książkach. Chciał potem pozbiierać pieczęteczki i złożyć napowrót w pudełko, ale ich nie mógł poodklejać żadnym sposobem, i jeszcze rozdarł przypadkiem jedną książkę.

Widząc, że nic nie poradzi, przestraszony chłopczyna zostawił wszystko tak jak było, i uciekł z pokoju co prędzej.

Mamy także nie było w domu, bo wyszła za jakiemiś sprawunkami, a piastunka Julisia zajęta była składaniem bielizny, nikt więc nie widział, że Kazio wchodził do pokoju taty. Tymczasem przyszedł wujaszek z małym swoim synkiem Adasiem, który dopiero mówić zaczyna, ale już dobrze biega i w konia umie się bawić doskonale. Kazio tak się zabawiał z braciszkiem, że zupełnie zapomniał o swojej psocie. Adaś został na cały dzień u niego i odszedł dopiero wieczorem.

Tata dnia tego późno powrócił do domu, wszedł do swego pokoju i od razu spostrzegł okropne nieporządki na biurku. Domyślił się, że tam ktoś musiał gospodarować, a nie kto inny, tylko Kazio. Zaraz też na niego zawołał, ale Kazio udał, że nie słyszy i stał cichutko w kącie w drugim pokoju. Tymczasem piastunka Julisia weszła do poko-

ju taty, a widząc, co się tam działo, zawołała:

— Ach, to niezawodnie ten malutki Adaś to zrobił, bo widziałam kilka razy, jak tu wbiegał. Kazio nigdy takich psot nie robi, on taki grzeczny.

— To prawda, odezwał się ojciec, Kazio już starszy i rozumie, że nie bez pozwolenia ruszać nie można. Adaś taki mały, pewnie to on zrobił; ale na niego gniewać się jeszcze o to nie można.

I już tata nie wołał więcej Kazia, tylko porządkował na biurku.

Chłopczyk zrazu się ucieszył, że go łajać nie będą, już mu się też i spać chciało, pobiegł więc mamie powiedzieć dobranoc. Trzeba było także pójść do taty, ale go jakiś wstyd ogarnął, a ten głos, co go wprzód ostrzegał, żeby psoty nie robił, teraz znów mówił wyraźnie: Wstydz się, źle zrobiłeś i nie przyznałeś się. — Oszukujesz ojca. I Kazio nie mógł żadnym sposobem pobiedz do taty,

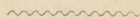
bo mu się zdawało, że go ktoś za rączkę trzyma i ciągle powtarza do uszka: Wstydź się, wstydź się!

Stała więc przy mamie i rozplakał się. Zdziwiła się mama i zapytała, co to znaczy. Kazio, zanosząc się od płaczu, powiedział jej wszystko i zaraz mu się jakoś lżej zrobiło, nawet płakać przestał. Mama wzięła go za rączkę i poszli razem do taty. Kazio, zbliżywszy się do biurka, zakrył oczki i nie mógł przemówić ani słowa, ale mama za niego mówiła, a on tak grzecznie tatę przeprosił, tak szczerze przyrzekł nie robić tego więcej, że tata się nie gniewał, a Kazio spokojnie spać się położył. Jakże ci się podoba ta powiastka, Zosiu?

Zosia. Bardzo mi się podoba, szczególnie przy końcu, kiedy już Kazio znowu był grzeczny, bo nie lubię słuchać powiastek o niegrzecznych dzieciach.

Ciocia. Dzieci jednakże, zwłaszcza młodsze, nie mogą być zawsze zupełnie grzeczne

i rozsądne, bo jeszcze wielu rzeczy nie rozumieją i nie mogą zapamiętać wszystkich przestróg, które im dają starsi. Czasem też nie umieją od razu przewycięzać swoich złych popędów. Ale jeśli dzieciom zdarzy się zrobić co złego, mogą to naprawić bardzo łatwo; niech tylko zawsze przyjdą śmiało do rodziców i całą prawdę im powiedzą. Nigdy źle na tem nie wyjdą.



VIII.

Nazajutrz Zosia wstała wcześniej niż zwykle, bo ciocia jej powiedziała, że świeżo posadzone goździki i balsaminy trzeba koniecznie podlać przed upałem, a potem poosłaniać je od skwaru wielkimi liśćmi łopianu. Wzięła więc koneweczkę z wodą i nie czekając śniadania, którego jeszcze nie podali, poszła do ogródka. Ciocia

obaczyła ją zapewne z okna swego pokoju, a że już była ubrana, zaraz tam także nadeszła.

Kiedy już kwiatki były wszystkie podlane, tak jak należy, Zosia przeszła z ciocią przez cały ogród, aż na dół, gdzie różne chwasty rosną i zbierały cały pęk ogromnych liści łopianu. Zosia wybrała z nich jeden największy i trzymała go przed sobą naprzeciw słońca, jak parasol.

Już była trochę głodna i śpieszyła do ogródka, żeby tam złożyć liście na ławeczce, a potem pójść na śniadanie, ale jakże się ucieszyła, gdy zbliżając się obaczyła przed ławeczką ustawiony stoliczek, a na nim tacę z imbryczkami, z garnuszekkami napełnionymi wyborną śmietanką, a przytem i cukiernicę, i bułeczki, i masło, słowem wszystkie przybory do śniadania.

Ciocia się uśmiechała, patrząc na radość Zosi, ale nie dziwiła się wcale; widocznie, wychodząc jeszcze, musiała się z mamą porozumieć i już naprzód wiedziała o tej niespo-

dziance. Jakże wybornie smakowało śniadanie na świeżem powietrzu i po pracy! Zosia najadłszy się nie miała żadnej ochoty powracać do pokoju, ciocia także powiedziała, że lepiej jeszcze posiedzieć z godzinę na ławeczce i później dopiero, gdy słońce więcej przygrzewać zacznie, pookrywać roślinki dużemi liśćmi.

Zosia. Tymczasem, ciociu, pogadajmy sobie o czemś zabawnem, tak jak to ty umiesz.

Ciocia. Właśnie też przypomniałam sobie, że już mówiłyśmy potrochu o dwóch państwach przyrody, o zwierzętach i roślinach, a o trzecim państwie, a raczej o najpierwszem, nie było jeszcze prawie wzmianki.

Zosia. O minerałach? Ej to nie bardzo ciekawe, moja ciociu. Cóż tam ciekawego o tych martwych minerałach powiedzieć można?

Ciocia. Ba, nie trzeba znów tak gardzić niemi. Czy to mało skarbów leży w tej martwej ziemi zagrzebanych?

Zosia. O, ja wiem o tych skarbach, ciociu. Ty pewnie mówisz o kopalniach, gdzie wydobywają złoto, srebro, brylanty i różne drogie kamienie, czerwone, zielone, a takie śliczne, błyszczące.

Ciocia. Zapewne, wszystko to są bardzo piękne rzeczy, ale w ziemi znajdują się skarby daleko szacowniejsze od złota, srebra i wszystkich klejnotów.

Zosia. To ja o tych skarbach nic nie wiem, cioteczko; ja myślałam, że niema nic droższego nad złoto i brylanty.

Ciocia. Są jednak rzeczy szacowniejsze, które znasz bardzo dobrze, widzisz codziennie; do takich na przykład należy żelazo, które jest niezawodnie największym skarbem człowieka.

Zosia. O! co też ty, ciociu, mówisz; toż ja wiem dobrze, że złoty malutki guziczek daleko więcej kosztuje od wielkich nożyczek żelaznych.

Ciocia. Złoto jest droższe, to prawda, ale żelazo jest szacowniejsze, to znaczy, że przynosi ludziom daleko większe korzyści. Bogaci mogą płacić bardzo drogo, jeśli im się podoba, za złote guziczki i inne podobne ozdoby, ubożsi z łatwością obejść się mogą bez tego. Ale żelazo dla wszystkich ludzi, bogatych i ubogich, koniecznie jest potrzebne. Gdyby złota zabrakło w kopalniach, toby nie było jeszcze tak wielkie nieszczęście, możnaby je zastąpić czem innym. A teraz, pomyśl tylko, co by się stało, gdyby nagle znikło żelazo na całej ziemi. W najuboższych domach jest mnóstwo narzędzi żelaznych, bez których obejść się niepodobna. Żaden rzemieślnik nie mógłby swojej roboty wykonać, wszystkie fabryki musiałyby się zatrzymać, rolnicy nie mieliby czem uprawiać ziemi, upadłyby koleje żelazne i tysiące innych kłesk, których wyliczyć niepodobna, spadłyby na ludzi.

Zosia. To prawda, moja ciociu, nie przyszło mi to do głowy. U nas nawet w domu

byłaby wielka bieda, gdyby naraz gdzieś się podziały wszystkie żelazne rzeczy, noże, nożyczki, igły. Mama nie miałaby czem skroić ani uszyć sukienek. A zasuwki i zamki u drzwi i okien, u szafek i stolików, a haki rozmaite i gwoździe przy firankach, roletach i meblach. Dobrze ty mówisz, ciociu, że tego nawet wyliczyć niepodobna. O jak to wybornie, że Bóg dał ludziom takie kopalnie i tyle żelaza w nich pomieścił, że wszyscy mają dosyć. Jabym chciała to zobaczyć, jak tam się z ziemi wydobywa taka ogromna, ogromna bryła żelaza.

Ciocia. Takie ogromne bryły żelaza, jak ty sobie wyobrażasz, znajdują się bardzo rzadko i nie starczyłyby one na liczne nasze potrzeby. To żelazo, które zwykle w kopalniach wykopują, zupełnie inaczej wygląda, a tak dziwnie, że niepoznałabyś nigdy, co to jest takiego. To też nawet nie nazywają tego żelazem, tylko rudą żelazną.

Zosia. Chciałabym bardzo obaczyć tę rudę. Możebym ja jednak poznała się na niej.

Ciocia. Czy widziałaś kiedy zardzewiałe żelazo?

Zosia. Widziałam, ciociu. Teraz nawet na moim rydelku jest taka duża czerwonawa plama. Paweł powiada, że musiał gdzieś rydelek leżeć na wilgoci, ale to się wycyści.

Ciocia. Otóż wyobraź sobie duże grudki takiej czerwonawej rdzy; tak zwykle wygląda ruda żelazna. Wiesz jaka ta rdza jest krucha, miękka, można ją nawet zeszkrobać z żelaza. Ruda jest takąż sama i na nicby się nie przydała, gdyby nie to, że z niej można przerobić żelazo. Ogromna to jest robota. Trzeba mieć do tego umyślnie urządzone piece, w piecach tych rozpala się ogień straszliwy, który tę rudę topi, tak zupełnie, jak u nas w kuchni masło w rondelku się przetapia. Później dopiero, kiedy ta ciecz ostygnie, wygląda już tak jak żelazo.

Zosia. Ale jakimże to sposobem, moja ciociu, taka jakaś brzydka czerwonawa ruda, gdy się roztopi, zamienia się w twarde żelazo?

Ciocia. Bo w tej rudzie jest też samo żelazo, ale niezupełnie czyste, pomieszane z różnemi niepotrzebnymi dodatkami, i dla tego tak dziwnie wygląda. Idzie więc o to, żeby je oczyścić, a ogień ma tę własność, że zabiera wszystko to co niepotrzebne i doskonale żelazo oczyszcza.

Zosia. A ta rdza, ciociu, na moim rydelku, czy także dałaby się oczyścić? czy to także jest też samo żelazo z niepotrzebnymi dodatkami?

Ciocia. Niezawodnie; rydelek twój, leżąc na wilgoci, może się zupełnie zepsuć, gdy się żelazo zamieni w rdzę. Patrz, już i teraz odpadło parę kawałeczków i ostrze się wyszczerbiło.

Zosia. Już ja go muszę schować na noc. Ale powiedz mi, moja ciociu, czy i złoto tak jakoś dziwnie wygląda, kiedy się wydobywa z kopalni.

Ciocia. Nie, złoto wydobywa się z ziemi prawie czyste, srebro także, z żelazem

tylko najtrudniejsza sprawa. Ale już słońce zaczyna przygrzewać coraz więcej; bierzmy się do roboty, pookrywajmy młode nasze roślinki i same także schrońmy się do pokoju przed upałem.)

IX.

Wieczorem było już trochę chłodniej i Zosia, idąc do ogródka, wzięła na siebie chusteczkę włóczkową. Przypomniała sobie, że włóczka robi się z wełny baranków i powiedziała to cioci. Potem zaczęła oglądać całe swoje ubranie i doskonale umiała poznać, co było z bawełny, co z jedwabiu, a co z lnu zrobione.)

— Moja ciociu, mówiła, jakie też to są różne niteczki na świecie. Wszystkie się przędą jednakowo, ze wszystkich potem tkają różne materye, a każda z czego innego się robi.

Ciocia. Dla nas te niteczki są prawdziwym skarbem. Jak widzisz cały nasz ubiór się z nich składa. Warto też przypatrzeć się im bliżej i dokładnie je poznać. Właśnie przypominam sobie bajeczkę o czterech prządkach, które przędły różne niteczki i ciekawe rzeczy opowiadały o swojej robocie.

Zosia. Bajeczka, ciociu! to śliczna rzecz, ja bardzo lubię bajeczki i już zaczynam słuchać.

Ciocia. A ja zaczynam opowiadać.

Pewnego razu zeszły się z sobą cztery prządki, sławne na całym świecie z niepospolitej swojej sztuki i zręczności. Przywitały się grzecznie, i zaraz każda zasiadła do swojej roboty, nie chcąc stracić ani chwili czasu, przytem zabawiały się rozmową.

Pierwsza ubrana była po wiejsku, bardzo skromnie, ale tak świeżo i starannie, że miło było patrzeć na nią. Włosy jej jasne jak len, splecione były w gładkie warkocze, spadające

na ramiona. Fałdzista spódniczka z niewarowego płótna, biały jak śnieg fartuszek i koszulka podobna, oto był cały jej strój. Za nią postępowało dwóch wiejskich chłopaków ubranych pięknie, jak na Niedzielę; nieśli z sobą różne przybory, z których w mgnieniu oka urządzili jej wygodne siedzenie. Więc kilkadziesiąt sztuk płótna zręcznie ułożyli w stos, rozpięli nad tem ładny namiocik z szarego, niewarowanego batystu, podobnymi sznurami podpięty; potem jeden jej podał prześliczną kądziel, z pachnącego cedrowego drzewa, miękkim lnem nałożoną, drugi podobne wrzeciono, a pracowita prządka zręcznie zakręciła wrzecionkiem i wyciągnęła długą, cieniutką nitkę. Była to panna Konopianka, zarządzająca na całej ziemi wszelkiem przedziwem z lnu i konopi.

Obok umieściła się druga prządka. Ta miała ubranie całkowite zrobione z białych jak śnieg baranków, a na głowie podobną futrzaną czapkę. Strój ten ślicznie wyglądał przy ogorzalej jej twarzyczce i włosach czar-

nych, spadających w bogatych puklach na ramiona. Za nią szło dwóch pastuszków, świętecznie przybranych, z fujarkami w ręku. Ci także urządzili na prędce siedzenie dla swojej pani z puszystych wełnianych kołder i szalów, i rozpięli wspaniały namiot z purpurowego sukna, wełnianymi sznurami i chwastami ozdobiony. Donna Ferdinanda de los Merinos, tak się nazywała druga prządka, Hiszpanka rodem, była przełożoną nad wszystkimi wełnianymi wyrobami i teraz, nie tracąc czasu, kazała sobie podać piękny kołowrotek hebanowy i przędła na nim miękką, białą jak śnieg wełnę.

Trzecia prządka wyglądała znowu inaczej. Suknię miała białą muślinową, suto namarzczoną, odstającą jak balon, a za każdym jej poruszeniem szeleściły perkalowe krochmalone spódniczki, których kilka miała pod spodem. Ubranie głowy stanowił duży kapelusz, z białego fałdowanego muślinu. Na usługi miała dwóch murzynków, czarnych jak węgiel, z kędzierzawymi głowami. Ci w jednej chwili

ułożyli wielki stos miękkiej waty i pomogli swojej pani umieścić się na tem siedzeniu. Usiadła tak lekko, że wata troszeczkę tylko opadła.

Murzynkowie osłonili ją fałdzistym namiotkiem, z lekkiego i przejrzystego jak mgła muślinu, i postawili przed nią jakąś sztuczną maszynkę, z różnych kólek i wałeczków złożoną. Strojna prządka włożyła w tę maszynkę trochę puszystej waty i wyciągnęła śliczną nitkę bawełnianą. Ta trzecia prządka, nazwiskiem Miss Jenny Coton, Amerykanka, miała pod swoim rozporządzeniem bawełnę i wszystkie bawełniane wyroby.

Najokazalszy widok przedstawiała czwarta prządka. Powłóczysta jej suknia, zrobiona była z ciężkiego adamaszku złocistego koloru. Na ramionach miała zarzucony płaszczyk aksamitny purpurowy, a włosy jej czarne, podczesane do góry po chińsku, przykryte były przezroczystą i lśniącą zasłoną gazową. Miała przy sobie dwóch małych Chińczyków,

ustrojonych w żółte jedwabne sukienki, z czarnymi warkoczami spadającymi na ramiona. Niesli oni długi ogon u sukni swej pani, a przyszedłszy na miejsce, urządzili jej piękne siedzenie z baldachinem z samych jedwabi i aksamitów. Piękna ta pani była przełożoną nad wyrobami z jedwabiu. Od dawna już wprawdzie mieszkała w Europie, ale ponieważ jej ród z Chin pochodził, więc zawsze jeszcze nosiła chiński tytuł Mandarynki. Zasiadłszy na swoim miejscu i ona także zajęła się robotą, ale nie miała do tego ani kądzieli, ani kołowrotka, tylko przesłiczne zwijadełka z kości słoniowej. Nie przedła też swojej niteczki, bo niteczka ta, cieniutka jak pajęczyna, a jednak niezmiernie mocna, już była gotowa, zwinięta w jakieś małe, okrągławe kłębuszeczki, które Chińczykowie wrzucili do złotego kociołka napełnionego wodą wrzącą.

Mandarynka pierwsza rozpoczęła rozmowę w te słowa:

— Już to trzeba przyznać, moje panny

siostry, że wszystkie wasze wyroby muszą ustąpić przed mojemu. Gdzież tu wasze płótna, perkale, wasze szorstkie sukna i merynosy, mogą się porównać do moich wspaniałych jedwabnych materyj, do tych aksamitów, atłasów, pięknych wstążek, które wychodzą z moich pracowni. A jednak ja z moją przędzą daleko mniej trudów od was ponoszę, pocziwie liszki wszystko robią za mnie.

— Przepraszam cię, panno siostrze, odezwała się skromna Konopianka; prawda, że wyroby twoje są bardzo piękne, ale moje niezawodnie więcej korzyści przynoszą. Bogacze tylko stroją się w jedwabie i aksamity, iluż to ubogich ludzi bez nich się obchodzi; a bielizna każdemu jest koniecznie potrzebna. Płótno, nawet wtenczas, kiedy się podrze, służy jeszcze na szarpie dla chorych, a najdrobniejsze strzępki i szmatki zbierane są skrzętnie przez gąlganiarzy i oddawane do fabryk, gdzie z nich robią papier. Moja praca dość jest uciążli-

wa, ale wszystkie przyznać musicie, że naj-
użyteczniejsza.

— Wybacz, wybacz, siostrzyczko, zawo-
łała Hiszpanka, Donna Ferdinanda de los Me-
rinos, nakładając świeży pęk białej wełny na
sвій kołowrotek; jeżeli idzie o pożytek, to ja
nikomu nie ustąpię pierwszeństwa. Ciekawa
jestem, coby ludzie robili w zimie, gdyby mu-
sieli poprzestać na twoich płótnach i baty-
stach, gdybym ja im nie dostarczyła ciepłej
flaneli, dobrego sukna i różnych miękkich chu-
stek i szalów. Moje wyroby są trwałe, nie
drogie, więc dla ubogich przystępne, ale i bo-
gaci nie gardzą wcale pięknymi dywanami
mojego wyrobu, pysznymi kaszmirami, śliczną
włóczką. O, nie! mówcie sobie co chcecie,
ale ja z pewnością pierwsze miejsce trzymam
pomiędzy wami.

— Poczekaj, poczekaj, siostrzyczko ko-
chana, nie przechwalał się znów tak bardzo,
przerwała zwinna Amerykanka, Miss Jenny
Coton, poprawiając się na swoim siedzeniu,

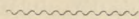
gdzie trudno jej było utrzymać równowagę, więc coraz głębiej zapadała w puszystą watę. A o mnie to już zapominacie. Ja jednak, prawdę powiedziawszy, sama jedna was wszystkie zastąpić potrafię. Bielizna z perkalu jest bardzo dobra, a tańsza od płóciennej; barchan prawie tyle ciepła daje, co flanela, a pierze się lepiej. O wacie, to już niema co i mówić, niech się schowa Donna Ferdinanda ze swoją włóczką i ze swojemi ciepłemi szalami, mojej waty nie nie potrafi zastąpić. Jeżeli idzie o piękne stroje, i tu ja się przed wami nie powstydzę. Królowa nawet może się śmiało ubrać w przejrzystą suknię muślinową, a tak świetnie będzie wyglądała, jak nasza Mandarynka we wspaniałych swoich adamaszkach.

Okazała Mandarynka pogardliwie ruszyła ramionami, poprawiając aksamitnego płaszczyka, Hiszpanka rozśmiała się na głos, zakręcając prędej kółka swojego kołowrotka, nawet wieśniaczka, milcząc, kręciła główką, na znak że się nie zgadza na te szczególne pretensye

Amerykanki. A ty, Zosiu, jak myślisz, której z tych czterech przątek dałabyś pierwszeństwo?

Zosia. Albo ja wiem, ciociu. Mnie się zdaje, że one wszystkie są bardzo potrzebne. Ale cóż dalej, cóż one więcej powiedziały?

Ciocia. Dalszą rozmowę opowiem ci jutro, bo i tak już dłużej niż zwykle zagawędziłyśmy się w ogródku.



X.

Nazajutrz z rana Zosia zapukała do okna cioci, wołając, że już pora kwiateczki polewać, a w ogródku tak ładnie, tak miło, daleko lepiej, niż w pokoju. Ciocia nie dała się długo prosić i poszła z nią razem, a mama obiecała im znowu śniadanie odesłać do ogródka. Wkrótce też obie zasiadły przy zastawionym

stoliczku i zajadały smacznie, a po śniadaniu Zosia przypomniała cioci, że cztery prądki nie skończyły wczoraj ciekawej swojej rozmowy. Więc ciocia tak dalej mówiła:)

Cztery prądki pracowały czas jakiś w milczeniu, każda z nich była troszkę obrażona na towarzyski, że jej pierwszeństwa odmawiały, tymczasem każdej przybywało przędzy, szczególnie Amerykanka na swojej maszynie tyle nasnuła, że ułożyła przy sobie stos ogromny wielkich motków bawełny. To też co chwila spoglądała z uśmiechem na drugie prądki, które jej dorównać w tem nie mogły, wreszcie nie mogąc się dłużej powstrzymać, zawołała wesoło:

— Przestańcież się już dąsać, siostrzyczki kochane. Ej, co tam, nie warto się sprzeczać, każda z nas ma swoje zasługi. Zgadzam się na to zupełnie, że płótna z lnu i konopi są trwalsze i lepsze od moich perkali, a ciepłe tkaniny wełniane więcej warte od barchanów. Nie przeczę także, że moja skromna muślino-



Zbiór bawełny.



wa suknia nie może się porównać do świetnych strojów Mandarynki; ale ja nie jestem taką wielką damą, jak ona, i obejdę się bez tej parady. A teraz jedną rzecz wam tylko powiem. Patrzcie, co ja tu przędzy nasnułam, czy która z was to potrafi? O maszynkę tu nie idzie, wiem ja, że i wy umiecie się obchodzić z podobnymi maszynami, ale nie nastarczycie materiału, a ja taką mam zawsze obfitość bawełny, że cały świat zasypuję swojemi wyrobami i mogę je znacznie taniej od waszych sprzedawać. Zamiast sprzeczać się niewiedzieć o co, możemy daleko przyjemniej czas przepędzić, opowiadając różne ciekawe rzeczy, każda o swoim rzemiośle. Czy zgoda?

— Zgoda, zgoda! zawołały wszystkie. Zaczynajże ty, siostrzyczko; twoje zajęcia są dla nas bardzo ciekawe, ty mieszkasz gdzieś za morzem i nie wiemy co tam porabiasz.

— Najchętniej, odrzekła Amerykanka i skinąwszy na swoich murzynków, żeby jej podali świeży zapas bawełny do przędzenia, tak roz-

poczęła opowiadanie: Już od dawna osiałam sobie w Ameryce, gdzie mi jest bardzo dobrze i wygodnie. Bawełna, roślina, która mi dostarcza materiału na przędzę, tu u was nie może być uprawiana, bo jest za chłodno dla niej, w Ameryce najlepiej się udaje. Jest to niewielki krzew, liście i kwiaty ma bardzo podobne do waszego ślazu. W niektórych gatunkach bawełny łodyga jest miękka i zielona, jak u ziół, ale to żadnej różnicy nie stanowi, każda wydaje jednakowe torebki nasienne, a mnie tego tylko potrzeba. Torebki te są suche, a gdy dojrzeją, z wielką łatwością pękają. We środku zaś jest mnóstwo nasionek, każde otulone w miękki, biały puszek, który natychmiast wydobywa się z ciasnej swojej kryjówki, jak tylko okrycie pęknie. Moi murzynkowie muszą się dobrze pilnować, ażeby w porę zebrać torebki bawełny, bo inaczej wiatr poroznosiłby po polach i lasach ten puch wraz z nasionkami i trudno byłoby go pozbiierać. Oj, ciężka to praca, tem bardziej, że tam



Jedwabniki.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

w naszym kraju straszne są upały. Możecie sobie wyobrazić, ile to jeszcze trudów potrzeba dolożyć, ażeby bawełnę należycie oczyścić z nasion, skorupki i różnego śmiecia. Nakoniec pakujemy ją, jak można najcieśniej w ogromne wory, które jeszcze pod prasą się ściskają, żeby jak najmniej zajmowały miejsca. Większa połowa naszej bawełny idzie na okręty, które ją do was, do Europy odwożą. Tu dopiero w przędzalniach wyrabiają to niezmierne mnóstwo różnych bawełnianych tkanin, które są bardzo użyteczne, chociaż wy nimi gardzicie. Resztki zaś i odpadki, nie przydatne na przędzę, przerabiają się na watę. A teraz ty, Mandarynko, opowiedz nam coś o swojej sztuce.

— Doprawdy, siostrzyczko, że mi troszkę wstyd, odezwała się Mandarynka, bo ja przy tobie wyglądam na próżniaczkę. Byle zdrowe pocziwe moje liszki i byle miały co jeść, to mi zawsze dość przedzy nasnują, ja nawet o materyał do tej ich roboty nie potrzebuję się troszczyć. Na wiosnę rozkładam

drobne jajeczka jedwabne w izbie czystej i ciepłej, a wnet wychodzą z nich małe robaczki. W ogrodzie mam drzewa morwowe, które umyślnie kazałam zasadzić dla moich liszek, bo one nic innego nie jedzą, tylko liście morwowe. Codziennie im przynoszą świeży zapas tych liści, a moje małe prządki wybornie się nimi tuczą, rosną i coraz więcej apetytu nabierają. Wyobraźcie sobie, że w własnej skórze pomieścić się nie mogą, i ciasna ta skóra pęka i zsuwa się z nich, jak rękawiczka. Szczególna ta przemiana powtarza się nawet kilka razy, aż wreszcie liszki prząść zaczynają. Z własnych swych ciałek wydobywają klej i snują z niego niteczkę, niezmiernie mocną i tak długą, że całutkie się w nią owijają, jakby wlały w jakiś kłębuszeczek wewnątrz próżny, w którym sobie usypiają. Osobliwe te kłębuszeczki nazywają kokonami. Jak widzicie, mnie już bardzo niewiele zostaje do roboty. Każę tylko kokony zanurzać w wodę wrzącą, żeby się niteczki rozkleiły, i zwijam je w motki, które



Strzyżenie owiec.

A. W. 1870

BIBLIOTEKA
BV
NARODOWA

potem w fabrykach zwykłym sposobem przetwarzają na różne piękne materye jedwabne.

— A cóż ty robisz z temi liszkami, co tam śpią w tych kokonach—zapytała Hiszpanka?— Toż one pewnie giną w tej gorącej wodzie. Pocóż ty się tak pastwisz nad niemi?

— Niestety, niema innego sposobu, mówiła Mandarynka; one porwałyby mi jedwab w kawałki, gdybym im pozwoliła się przebudzić. Wiem to z doświadczenia, bo zawsze zostawiam sobie pewną ilość kokonów. Zamknięte w nich liszki przemieniają się w motyle, przebijają kokony i wylatują, a jedwab już na nic się wtedy nie zda. Za to motyle znoszą mi potem nowy zapas jajeczek.

— Ale zkądże dostałaś pierwsze jajeczka, zapytała Konopianka.

-- Moja praprababunia, która niegdyś w Chinach mieszkała, przysłała do Europy pierwsze jajeczka jedwabników. Musiała je kiedyś bardzo dawno znaleźć w morwowych

lasach chińskich, ale teraz podobno i tam nigdzie po lasach niema dzikich jedwabników, tylko je wszędzie ludzie hodują.

— Przyznam ci się, siostrzyczko, rzekła Donna Ferdinanda de los Merinos, że już ja wolę swoje rzemiosło. Przynajmniej nie potrzebuję mordować tych pocziwych owieczek; dopilnuję tylko, żeby miały wełnę wymytą i wyczesaną, jak należy, potem dodaję do niej odrobinę tłuszczu, żeby nie była nadto sucha i lepiej się dała uprząść. Trzeba wam wiedzieć, że piękność mojej przędzy zależy głównie od gatunku owiec. Wełna z prostej owcy nie da się przerobić na miękką delikatną tkaninę. Najwyborniejsze owce pochodzą z Hiszpanii; nazywają je merynosami od mojego nazwiska. Przodkowie moi już od bardzo dawnych czasów te owce hodowali, a wełna ich przez staranne utrzymanie nabrała takiej delikatności. Amerykańskie lamy, ładne kózki, które tam w górach przebywają, dostarczają mi także pięknego materiału. Szczególnie lama, zwana

wigonią, prześliczną ma wełnę i różne z niej wyrabiają materye.

— Co do mnie, mówiła Konopianka, skromne moje prace powszechnie są znane. Najprzód w polu zasiewam len i konopie, a gdy wyrosną, ścinam łodygi i moczę je w wodzie, póki zwierzchnia skórka nie zgnije. Niemile to zajęcie, bo te gnijące rośliny zapach mają bardzo przykry, a nawet szkodliwy. Kiedy już ta twarda powłoka odpadnie, zostają pod spodem miękkie włókna, które jeszcze z wielkim mazołem trzeba oczyszczać i czesać. Teraz już są do tego maszyny ułatwiające tę robotę. Do przędzenia używają także różnych sztucznych przyrządów; tkanie zawsze mniej więcej jednakowo się odbywa. A teraz, siostrzyczki, muszę was pożegnać, bo idę w pole doglądać zbioru lnu.

Inne prządki także powstały, bo każda przypomniała sobie jakieś pilne zajęcie, po-

żegnały się i rozeszły w najlepszej zgodzie.
Chodźmyż i my także do pokoju.

XI.

Zosia. Zgadnij, ciociu, co ja tu mam w kieszonce. Mama dziś porządkowała w szafie i kawa przypadkiem się rozsypała; ja mamie pomogłam zbierać i poprosiłam, żeby mi dała kilka ziareczek. Mama dała i pewnie myślała, że to do zabawy, a ja, wiesz, ciociu, co zrobię? Zasadzę te ziarenka w ogródku, żeby wyrosły i będę miała swoją kawę—i mamie dam trochę. Nie wiem doprawdy, czemu mama nie każe zasadzić w ogrodzie dużo takich ziarenek, żeby niepotrzeba było posyłać do miasta po kawę. Ale czegoż ty się śmiesz, moja ciociu? znów pewno coś nierozsądnego powiedziałam. Toż sama wczoraj

mówiłaś, że kawa rośnie, a te ziarnka, to jej nasionka, a teraz to tak na mnie patrzysz, jak gdybym ja chciała dukaty zasiewać w ogrodzie, tak jak ten chłopczyk, co to o niczem nie wiedział.

Ciocia. To pewna, że i ty z tej kawy nie miałabyś więcej korzyści, niż on z dukatów. Mówiąc ci wczoraj o kawie, zapomniałam podobno dodać, że ona tylko w ciepłych krajach rośnie. Gdyby ją u nas można było uprawiać, mama zapewne już oddawna pomyślałaby o tem.

Zosia. Ach, to zupełnie tak jak bawełna; teraz już wiem.

Ciocia. W tych krajach oddalonych, gdzie jest daleko cieplej, aniżeli u nas, a zimy niema wcale, rośnie bardzo wiele drzew i ziół osobliwych, które u nas żyć nie mogą, chyba w doniczkach. Te doniczki muszą być starannie utrzymywane w ciepłych pokojach, albo w budynkach umyślnie do tego urządzonych, gdzie jest jeszcze cieplej, niż u nas w pokoju.

Zosia. Widziałam, ciociu, taki budynek, jak ty mówisz. To się nazywa cieplarnia. Mnóstwo tam jest małych szybek, tak że cała ściana wygląda, jakby jedno okno. A czy nie możnaby kawy zasadzić w takiej cieplarni?

Ciocia. To byłby nadto wielki kłopot, a potem kawa przy takim sztucznem cieple nie mogłaby być dobra.

Zosia. Cóż to za szkoda; a ja taka byłam ciekawa, jak ta kawa wyglądać będzie, jak wyrośnie.

Ciocia. Ja ci mogę opowiedzieć, jak ona wygląda. Kawa jest niewielkiem drzewkiem, ma piękne liście zielone, podobne trochę do liści oleandrów, i białe pachnące kwiaty. Te kwiaty wydają jagody czerwone, jak wiśnie, które podobno niezły nawet smak mają. Każda jagoda ma pośrodku dwa takie ziarnka, jak te, które chciałaś zasadzić w ogródku.

Zosia. Ja uważałam, że te ziareczka takie są płaskie po jednej stronie; widać wy-

rażnie, że to są tylko połówki. Jakże to dziwnie, moja ciociu; niewiedziałam, że kawa ma takie jagody, jak wiśnie, i że nawet jeść je można. Czy ona także w Ameryce rośnie, tam gdzie bawełna?

Ciocia. Teraz już kawę zasadzają i uprawiają we wszystkich gorących krajach, ale najlepsza rośnie w Arabii. Wszak widziałaś na mapie Arabią?

Zosia. Widziałam, ciociu: to tam gdzie Arabowie jeżdżą na wielbłądach, tam niedaleko jest morze Czerwone.

Ciocia. Tak, to właśnie tam. Arabowie od dawnych czasów uprawiają kawę w swoim kraju, ale po drugiej stronie morza Czerwonego, w Afryce, rosną całe lasy drzew kawowych. Z tych dzikich drzew jednak kawa nie jest tak dobra. Muszę ci opowiedzieć, jakim sposobem pierwszy krzaczek kawy przywieziony został do Ameryki. Jeden oficer francuzki, nazwiskiem Desclieux, podróżując po świecie, dostał się aż do Arabii. Widząc tam

kawowe drzewka, przyszło mu na myśl, że i Francuzi mogliby u siebie tak pożyteczną roślinę uprawiać. We Francyi nie jest jednak tak ciepło, ażeby kawę tam zasadzać było można, ale Francuzi w tym czasie, sto kilkadziesiąt lat temu, posiadali amerykańską wyspę Martynikę, gdzie jest właśnie tak gorąco jak potrzeba dla uprawy podobnych roślin. Otóż ten oficer przesadził w doniczki parę młodziutkich krzaczków kawy i zabrał je z sobą na okręt, jadący do Martyniki. Podróż była bardzo długa i uciążliwa, i wystaw sobie, że w drodze zabrakło wody na okręcie, tak, że nikt nie mógł pić do woli, ale każdemu z podróżnych wydzielano codziennie do picia niewielką szklanę.

Zosia. Moja ciociu, jakże na okręcie może wody zabraknąć, kiedy tam jest morze.

Ciocia. Morska woda jest bardzo słona i gorzka, pić jej niepodobna, a rośliny także jej nie lubią i biedne krzaczki kawy byłyby zginęły niezawodnie wszystkie, bo kapitan



Przewiezenie kawy do Martyniki.

BIBLIOTEKA
NARODOWA
W WARSZAWIE

okrętu nie chciał dawać wody słodkiej do polewania roślinek, kiedy ludzie nie mieli co pić. Ale Desclieux wolał sam cierpieć najokropniejsze pragnienie, aniżeli pozwolić zgiąć ulubionej swojej kawie, to też oddawał jej większą połowę tej wody, którą mu tak skąpo wydzielano, sobie zaledwie kilka kropel zostawiając. Tym sposobem uratował jeden krzaczek, który przybył pomyślnie na ląd, wyrósł i z tego jedynego krzaczka rozprowadzono wielkie mnóstwo drzewek kawowych, nie tylko w Martynice, ale i na innych sąsiednich wyspach. Dziś z tamtąd najwięcej kawy do nas przychodzi. Z herbatą nie tak łatwo idzie; probowano ją także zasadzać w cieplejszych okolicach, ale chociaż najpiękniej wyrosnie, nigdzie jednak nie bywa tak smaczną i tak przyjemnie pachnącą, jak ta, którą mamy wprost od Chińczyków. Wszak wiesz podobno, że Chiny są w Azji i widziałś je na mapie?

Zosia. Widziałam, ciociu. Ale powiedz

mi, czy to także są nasionka herbaty, to co mama w czajnik zasypuje?

Ciocia. Nie, to są liście ususzone. Może ci się zdarzyło widzieć roślinę zwaną kame-
lią, u nas często w doniczkach utrzymywa-
ną. Kwiat kamelii jest bardzo okazały, podob-
ny trochę do róży, tylko nie pachnący; liście
jej gładkie, błyszczące, za potarciem wydają
lekki zapach, przypominający herbatę. Drze-
wko herbaciane ma być bardzo podobne do ka-
melii, która także w tym samym kraju rośnie,
to jest w Chinach.

Zosia. Mój Boże, z jakich też to różnych
krajów dalekich przywożą zapasy do maminej
szafy. Ale też dobre tam są rzeczy w tej sza-
fie. Dziś mama dała mi pokosztować różnych
przysmaków, za to, że jej pomagałam składać.
Dostałam rodzénków, migdałów i kawałeczek
czekolady.

Ciocia. A czy wiesz, z czego się robi cze-
kolada?

Zosia. Nie wiem, ciociu. Czy to także z jakiego drzewa, co w ciepłych krajach rośnie?

Ciocia. Czekolada robi się z owoców drzewka amerykańskiego, które nazywają kakaowcem. Owoce te są podługowate, jak ogórki, brunatnego koloru, a we środku mają duże, tłuste ziarna, z których wytłaczają masę zwaną kakao. Toż samo kakao, trochę odmiennie przyprawione, nazywa się czekoladą.

Zosia. Ta czekolada, to wyborna rzecz; bardzo lubię i tę co w tabliczkach i tę, co się pije z filiżanki. Dobrze, że już wiem teraz, z czego to się robi.

XII.

W ogródku Zosi coraz więcej przybywało roślinek; już teraz do polewania wychodziło kilka konewczek wody, ale niedaleko stała duża kaczka, zawsze pełna, i Zosia mogła z niej

czerpać, ile tylko chciała; ciocia pomagała jej wody nabierać, a z polewaniem już ona sama dawała sobie rady, bo niezmiernie tę robotę lubiła.

— Nie wiem jednak, coby to było, powiedziała, niosąc pełną koneweczkę, żeby mi się bardzo pić chciało, tak jak temu oficerowi na okręcie; czy oddałabym swoją wodę roślinkom? Jak to dobrze, że tu u nas nie taka słona i brzydka woda. Ale powiedz mi, ciociu, jakże tam w morzu żyją wieloryby, te ogromne, co to są na obrazku, cóż one tam piją? czy tę morską wodę?

Ciocia. Wieloryby i inne morskie istoty mogą pić słoną wodę; one nawet nie mogłyby bez niej żyć, bo Pan Bóg naznaczając im to mieszkanie, dał też stosowną do tego naturę. W morzu są także i rośliny odrębnego rodzaju, które rosną wybornie w tej słonej wodzie.

Zosia. Jakto, w morzu, w wodzie rośliny? o tem nie słyszałam jeszcze. Ale jakże one tam rosną, moja ciociu, kiedy tam tak

okropnie głęboko. Chyba gdzieś, aż na samym dnie, to jakże je tam obaczyć?

Ciocia. Jedne czepiają się skał podwodnych, inne nie mają żadnych korzeni i nigdzie się nie trzymają, tylko pływają sobie po wodzie. Takie morskie rośliny bywają czasem ogromne; wyglądają zwykle, jakby jakieś niezmiernie długie wstęgi zielone. Czasem się ich nabiera wielkie mnóstwo na jednem miejscu i zdaje się, patrząc na to z okrętu, że łąka zielona albo las pływa w wodzie. Różne morskie zwierzątka żywią się temi roślinami, bo i w morzu, tak jak na lądzie, rośliny wciągają w siebie martwe minerały rozpuszczone w wodzie i tym sposobem przygotowują pokarm dla zwierząt. Tam także się odbywa cudowna fabryka, bo inaczej zwierzęta poginęłyby z głodu.

Zosia. Moja ciociu, ja myślałam, że w morzu tylko ryby mieszkają, a ty mówisz o różnych zwierzątkach. Ja nie wiem, jakie to te zwierzątka morskie.

Ciocia. Trudno byłoby wyliczyć wszystkie istoty zamieszkujące morza; są między nimi i straszne potwory i różne drobne stworzenia bardzo osobliwe. Już raz podobno wspominaliśmy o koralach i obiecałam ci coś więcej o nich powiedzieć.

Zosia. Ach prawda, ciociu; mówiłaś, że to jakieś dziwne morskie zwierzątka lepią koraliki. Czy one umyślnie robią takie śliczne rzeczy dla grzecznych dziewczynek?

Ciocia. O nie, one nic o dziewczynkach nie wiedzą; one dla siebie lepią domki, a ludzie te domki zabierają, wygładzają pięknie, krają na kawałeczki i wyrabiają z nich różne ozdoby.

Zosia. Ależ to muszą być prześliczne takie domeczki koralowe? Czy one mają drzwiczki i okienka i daszek malutki?

Ciocia. O nie, niema tam najmniejszego podobieństwa do naszych domów. Widziałaś zapewne wśród zimy krzak róży, albo agrestu, zupełnie огоłocony z liści. Otóż wyobraź so-

bie coś podobnego, jakiś krzak ogromny, niezmiernie rozgałęziony. Moznaby zrazu wyobrazić sobie, że to jakaś wodna roślina. Tak nawet dawniej wszyscy myśleli, aż pewnego razu, ciekawy jeden żeglarz ściał taką koralową gałązkę i umieścił ją w szklance z wodą. Zaczął się jej uważnie przypatrywać i spostrzegł na tej gałązce niewielkie punkciki białe, które wziął za pączki tej osobliwej rośliny. Aż naraz z tych punkcików wysunęły się jakieś cieniuteńkie łapki także białe, i zaczęły się poruszać na wszystkie strony. Gdyby nie te ruchy, moznaby sobie wyobrazić, że z pączka wyskoczył nagle biały kwiateczek. Gdy szklankę przypadkiem potracono, łapki natychmiast się cofnęły do swojej kryjówki i pozostała tylko martwa i nieruchoma gałązka. Pokazało się więc, że w tych twardych, kamiennych skorupach żyją dziwne zwierzątka, nie mające ani głowy, ani oczu, tylko te łapki długie, które wysuwają, chwytając niemi pożywienie z morza. Na każdym takim krzaku,

na każdej gałęzce, jest ich wielkie mnóstwo; razem tam sobie mieszkają, jak pszczoły w ulu.

Zosia. A z czegoż one lepią te śliczne swoje domki? bo to z tych gałęzek są koraliki, nieprawdaż?

Ciocia. Tak jest. Z czego zaś powstają, łatwo zrozumieć. Czy nie widziałaś ślimaka? on także ma domek z twardej skorupki; ta skorupka mu wyrasta tak samo, jak u innych zwierząt wyrastają kości, zęby, rogi. Wszystko to z pokarmów się tworzy. W morzu jest bardzo wiele takich żyjątek, jak koralce, nie wszystkie jednak mają takie piękne czerwone skorupki. Nazywają je polipami, albo zwierzkorzewami, dla tego, że są podobne z postaci do roślin. Gdy żyjątko zginie, zostaje tylko twardey kamienny domek, inne żyjące zwierzątka budują tymczasem na wszystkie strony. Często tyle się tego nagromadzi na jednym miejscu, że powstają ztąd na morzu ogromne skały, sterczące na powierzchni, a nawet, po

długim niezmiernie przeciągu czasu, z tych skał tworzą się wyspy tak wielkie, że na nich ludzie się osiedlają, budują miasta i wsie.

Zosia. Co, naprawdę, ty nie żartujesz, cioteczko? takie dziwne, zabawne zwierzątka potrafią całą ogromną wyspę wymurować?

Ciocia. Czemuż nie, jeżeli się ich zbierze bardzo dużo. Ziarnko piasku jest malutkie, a jednak są całe kraje pokryte temi drobnymi ziarnkami. Kropelka wody także jest niewielka, a gdy się tych kropelek zleje z sobą mnóstwo, tworzą się z nich rzeki, jeziora, a nawet ogromne morza.

Zosia. To tak wczoraj dziadunio powiedział: ziarnko do ziarnka, to będzie miarka. Ale ja niewiedziałam, ciociu, że w morzu takie ciekawe są rzeczy.

Ciocia. Kiedy już mówimy o ciekawych rzeczach znajdujących w morzu, warto coś wspomnieć i o perłach.

Zosia. Perły, ciociu? te białe, śliczne, błyszczące? Może to także jakie śmieszne

zwierzątka je lepią? Mama takie perełki ma schowane w swojej szafie, ale nie chciała mi ich dać do zabawy, mówiła, że to szkoda, bo one bardzo są drogie. Aż tu wczoraj przyszedł Węgier z dużym pudłem, pełnym różnych prześlicznych rzeczy i mama kupiła u niego perły daleko większe od tamtych, zapłaciła jeden złoty tylko, i powiedziała, że to są perły nieprawdziwe i nie drogie, więc można się nimi bawić. Ja nie wiem, moja ciciu, co to znaczy perły prawdziwe i nieprawdziwe.

Ciocia. Te perły, które mama kupiła u Węgry są poprostu ze szkła zrobione. Nie wiele kosztują, ale za to nietrwale są i psują się łatwo. Prawdziwe perły pochodzą z morza. Wszak znasz ślimaki, te co pełzają po ogrodzie i skojki, które kiedyś znalazłaś nad rzeką. W tych skorupkach, podobnie jak w koralowych gałązkach, żyją zwierzątka, mające ciałko zupełnie miękkie, bez kości, ztąd je nazywają mięczakami. Mają one za to twarde

zwierzchnie okrycie. W morzu znajdują się daleko większe i czasem bardzo piękne muszle lub konchy, a i w nich żyją podobne mięczaki.

Zosia. Ciociu, to takie morskie konchy podają u nas przy obiedzie; Wawrzyniec w nie nakłada wyborne paszteciki. U taty na biurku są daleko piękniejsze muszle, także morskie. Tylko już w nich żadnych zwierzątek niema, pewnie zginęły.

Ciocia. Zapewne. A czy uważałaś, że nawet te skołki rzeczne powleczone są we środku masą białą, lśniącą, jak porcelana.

Zosia. Ciociu, już wiem, co chcesz powiedzieć. Mama mi pokazywała prześliczne pudełko pokryte taką masą, coto niby jest biała, a tam w niej migają różne kolory, jakby tęcza. Mama mówiła, że to się nazywa perłowa macica i z muszelek się robi.

Ciocia. Otóż widzisz; w tych samych konchach morskich, które wydają perłową macicę,

znajdują bardzo często te piękne, drogie perły. Konchy te złożone są z podwójnych skorupek, szczelnie zamkniętych, tak jak rzeczne skojki. Często jednak się zdarza, że do środka wpada ziarnko piasku, lub drobniutki kamyczek i rani delikatne ciało mięczaka. Wtenczas z tego miejsca zranionego zaczyna się sączyć matura, osadza się na kamyczku lub ziarneczku piasku, krzepnie, kamienieje i zamienia się tym sposobem w ową perłę kosztowną, którą potem przemyślni ludzie wynajdują i zabierają sobie. Czasem i w naszych rzecznych skojkach można znaleźć perełki podobne, ale nie tak piękne jak morskie.

Zosia. Jakie też to w tem morzu różne są ciekawości. I pewnie to jeszcze nie wszystko, pewnie tam jest mnóstwo, mnóstwo innych dziwnych rzeczy.

Ciocia. Zapewne, ale niepodobna wyliczyć wszystkiego odrazu. Jeszcze ci tylko wspomnę gąbki, które także w morzu wyrastają, do skał podwodnych pouczepiane. I to są takie dziwne

zwierzątka, chociaż wcale do zwierzątek nie podobne.

Zosia. Co, te gąbki do umywania były kiedyś żywe i ruszały się?

Ciocia. O, nie. Żywe wyglądały prawie tak jak i teraz. Miały tylko w sobie klej jakis i to ten klej uważany jest za żyjącą istotę. Ale nie skończyłabym i do jutra, żeby ci chciała opowiadać o morskich osobliwościach.

XIII.

Ciocia. Co tam spostrzegłaś, Zosiu, że się tak przypatrujesz i czego tak zabawnie stoisz na jednej nóżce?

Zosia. Bo się boję, żebym której mrówki nie przygniotła. Patrz, patrz, ciociu, jak one biegają, jak się czegoś śpieszą, im się zdaje,

tym śmiesznym owadkom, że one naprawdę coś bardzo ważnego robią.

Ciocia. Alboż ty myślisz, że one się bawią? mrówki pracują naprawdę i naprawdę ważne rzeczy robią.

Zosia. O, ciociu, co też ty mówisz. Cóż takie maleństwo może zrobić.

Ciocia. Zapewne, że dla nas ta robota mrówek nic nie znaczy, ale dla nich jest bardzo ważna, bo też one dla siebie pracują.

Zosia. Ale cóż one robić mogą? Biegają na wszystkie strony, zdaje się, że coś niosą, coś ciągną za sobą. Tu pewnie niedaleko jest mrowisko, bo mrówki tak zawsze do mrowiska śpieszą.

Ciocia. Otóż widzisz, to jest właśnie ich robota. Te mrowiska to są mieszkania mrówek i one je sobie same budują. Widzisz, jak noszą, jak dźwigają różne materiały do tych swoich budowli, a może także zapasy żywności dla dzieci.

Zosia. Ciociu, ja widziałam malutkie mrówiątka. Takie białe, jakby coś nieżywego. Mrówki je czasem na rękę noszą, tak zupełnie, jak piastunki noszą małe dzieci. Ja myślałam, że to są ich jajka i Marysia także tak mówiła, ale mama powiedziała, że to mrówiątka żywe, co już wyszły z jajek i nawet jeść umieją, bo te piastunki je karmią.

Ciocia. A widzisz, ile to mrówki mają roboty; budować domy, karmić, pielęgnować te liszki malutkie, które sobie same nie mogą dać rady, czyż to nie jest praca prawdziwa? a ty powiadasz, że im się tylko zdaje, że one coś robią. A pszczołki, czyż nie widziałaś roboty ich w pasiece?

Zosia. O, prawda, ciociu; jak one prześlicznie lepią te swoje woskowe komóreczki, jak zręcznie nalewają w nie słodkiego, wyborowego miodu. Ja wiem, z kąd one ten miodek biorą; wysysają sok z kwiateczków. Ale muszą z nim coś jeszcze robić, bo ja nieraz próbowałam wyssać sok z różyczki, albo z na-

sturcy; innych kwiatków nie biorę do ust, bo mama mówi, że to może zaszkodzić, a nawet są takie, co i otruć mogą. Mnie jednak wcale nie smakował ten sok z różyczki; taki jakiś cierpki, nie słodki, nie wiem jak pszczołki mogą z niego miód zrobić. Jabym nie potrafiła.

Ciocia. Ani ja także. Bo też nas Pan Bóg do czego innego stworzył, my mamy inne powinności..

Zosia. Moja ciociu, czyż to jest pszczołki powinność lepić te plastry z miodem, a powinność mrówki budować mrowisko? Czy im kto każe to robić?

Ciocia. Alboż ty nie wiesz, kto rządzi wszystkim na świecie? Pan Bóg każdemu stworzeniu daje taki instynkt, ażeby dopełniło tego, co mu jest do życia potrzebne. Żeby mrówka nie budowała mrowiska, nie hodowała swoich dzieci, toby te wszystkie mrówiątka, jak je nazywasz, wyginęły i nie byłoby mrówek na świecie. Toż samo stałoby się i z pszczo-

łami, żeby nie robiły plastrów miodowych i nie zbierały miodu. Ale Pan Bóg o tem pamiętał i dał tym owadkom taki instyngt, że wiedzą dobrze co do nich należy i dobrowolnie, z ochotą, tej powinności swojej dopełniają. Nigdy też się nie omylą, bo nic innego nie umieją. Mrówka nie potrafi lepić plastrów z wosku, pszczołka nie dałaby sobie rady w mrowisku, ale każda robi swoje.

Zosia. Moja ciociu, toż te owadki są bardzo grzeczne i rozsądne, że tak wszystko robią, co potrzeba, choć ich nikt nie zmusza i nie napędza. A czy też im nigdy się nie zechce popróżnować, kiedy pora brać się do roboty, albo pobawić się czem innem, albo zepsuć, co drugie zrobiły?

Ciocia. Trudno się od nich o tem dowiedzieć, bo się z niemi rozmówić nie możemy. Zdaje się jednak, że właśnie dla tego z taką łatwością powinności swoje spełniają, że nie mają takich niepotrzebnych zachcianek.

Zosia. O, tak, to nie sztuka. Szkoda, że

ja nie jestem sobie taką jakąś muszką, tobym także zawsze z ochotą robiła wszystko, co mi mama każe, bo wtenczas nigdyby mi się nie chciało grymasić, napierać się tego co nie można, albo psuć jakieś potrzebne rzeczy.

Ciocia. Alboż to Pan Bóg nie dał ci rozumu i sumienia? Prawda, że możesz robić i źle i dobrze, jak ci się podoba, ale wiesz doskonale, co jest źle, a co dobrze. Prawda, że zwierzątka nie potrzebują się zastanawiać, ani trudzić przewyciężaniem złych swoich popędów, ale za to zwierzątka nie mogą zmienić swojej natury i żeby niewiem jak długo żyły, zawsze będą jednakowe, czy złośliwe, czy łagodne. Tobie zaś Bóg dał duszę nieśmiertelną, która się może doskonalić, to jest być coraz lepszą. Żeby tu była niegrzeczna jaka dziewczynka, złośliwa, grymasna, nieposłuszna, u nas takich dziewczynek niema, ale żeby była, toby się mogła poprawić i stać się zupełnie dobrą i grzeczną, byle tylko chciała.

Zosia. Ach, ty nie wiesz, cioteczko: ja także wczoraj byłam trochę niegrzeczna, ale nie gniewaj się, ja już się poprawiłam. Mała siostrzyczka zabrała moje gospodarstwo i rozkładała sobie na podłódze; ja wiem, że ona go nie zepsuje, bo to mocne bardzo gospodarstwo, ale niechciałam żeby brała. Przybiegłam, wydarłam jej wszystkie dzbanuszki, miseczki, i jeszcze jej klapsa dałam porządnego w rączkę. O, cioteczko, nie patrz tak na mnie, bo ja muszę oczki schować.

Ciocia. Powiedziałaś mi, żeś się poprawiła, pewnie więc drugi raz tego już nie zrobisz.

Zosia. Nie, ciociu, nigdy już więcej. Teraz wychodząc do ogródka pozbierałam gospodarstwo i sama dałam je siostrzyczce, choć ona nie napierała się wcale. Taka była uradowana, tak mnie uściskała, a ja ją także pocałowałam w tę samą rączkę, co to wczoraj... ale nietrzeba już o tem mówić. Widzisz, ciociu, żebym ja była muszką, nie dziewczynką,

tobym się nie poprawiła, tylko ciągle wydzie-
rałabym gospodarstwo i dawałabym klapsy
siostrzyczce.

Ciocia. I biedna ciocia miałaby tu, za-
miast grzecznej swojej Zosi, taką jakąś złośli-
wą muszkę. Pamiętajże teraz zawsze, jakto
dziewczynki powinny się poprawiać, żeby były
coraz lepsze, jeżeli nie chcą być podobne do
zwierzątek, a ja ci opowiem ładną powiastkę
o dzieciach, które znalazłam w Warszawie.

Zosia. O grzecznych, ciociu?

Ciocia. Zobaczysz. Ale teraz już niema
czasu, bo pora wracać do pokoju.

XIV.

Wieczorem, kiedy znów ciocia zasiadła na
ławeczce w ogródku, Zosia jej przypomniała,
że obiecała jakąś ładną powiastkę opowiedzieć

o dzieciach warszawskich, a ciocia tak opowiadać zaczęła.

— Było raz dwoje dzieci, braciszek i siostrzyczka. Braciszek miał piąty rok i nazywał się Józio, a siostrzyczka jego Bronisia już sześć lat skończyła. Mama tych dzieci kochała je niezmiernie i nawet trochę zanadto pieściła, dogadzała im we wszystkim, nigdy nie łajała, choćby coś niegrzecznego zrobiły, a pieszczoszki tak się tem zepsuły, tak rozmazały, że im nie można było dać rady. Józio szczególnie strasznie był grymaśny. Wieczorem za nic nie chciał położyć się spokojnie do łóżeczka, ale póty wołał i krzyczał, póki mama nie przyszła go sama rozebrać, potem jeszcze napierał się koniecznie, żeby siedziała, póki nie zaśnie. Z rana znów nikomu nie dał się umyć, ani zaczesać i mamie nawet się wyrywał. Przy śniadaniu inne zuów były sceny. Józio chciał koniecznie tej bułeczki, którą Bronisia sobie wybrała, ona za nic nie chciała ustąpić, bo także mało co rozsądniej-

sza była od braciszka. Czasem znów oboje razem napierali się cukiernicy, zaczynali krzyzczyć przeraźliwie, a nawet bić się i szarpać, aż póki mama gwałtem ich nie rozdzieliła. Nie łatwa to była sprawa uspokoić takie niegrzeczne dzieci i mama zawsze strasznie się nad nimi zmęczyć musiała. Toż samo powtarzało się codziennie, a i wiele innych brzydkich rzeczy, których ci nawet niechęć opowiadać, aż przyszło do tego, że mama zaczęła często chorować, zmizerniała strasznie i tata przestraszony posłał po doktora.

Wtenczas i dzieci przestraszyły się trochę, usiadły sobie przy małym stoliczku i bawić się zaczęły dosyć spokojnie. Ale po chwili, już Józio wydarł siostrzyczce jakąś zabawkę i uciekł z nią do drugiego pokoju, ona zerwała się, pobiegła za nim krzycząc z całej siły i potrafiła go tak, że upadł na progu i mocno się uderzył. Mama, chociaż bardzo cierpiąca i osłabiona, musiała zaraz wstać,

podnieść go, wziąć na kolana i uspokajać, bo nikomu nie dał się dotknąć.

W tej chwili wszedł właśnie doktor, a Józio jeszcze i przy nim się mazał, chciał koniecznie siedzieć u mamy na kolanach i ledwie go namówili, żeby poszedł do piastunki i uciszył się trochę. Doktor rozpytawszy się o cierpienia mamy, powiedział, że powinna koniecznie poleżeć spokojnie w łóżku, mało bardzo mówić, i niczem się nie martwić, bo inaczej żadne lekarstwo jej nie pomoże i coraz więcej chorować będzie. Ale mama się na to smutnie uśmiechnęła, bo pomyślała sobie, że niegrzeczne dzieci nie dadzą jej odpocząć. Tata jednakże obmyślił na to środek i powiedział, że kiedy dzieci nie umieją cenić zdrowia takiej dobrej matki i chcą ją zabić swojemi kaprykami, to on je z domu zabierze i odda do jednej pani, która umie się z niegrzecznymi dziećmi obchodzić. Bronisia i Józio słyszeli te słowa taty z drugiego pokoju, i możesz sobie wyobrazić, co się z niemi działo. Oni nigdy jeszcze,

nawet na jeden dzień nie rozstawali się z swoją kochaną mamą, a tu naraz mieli się dostać do jakiejś obcej pani i to takiej, co umiała się z niegrzecznymi dziećmi obchodzić. Przelękli się okropnie i nie śmieli się nawet odezwać, a wtem usłyszeli łagodny głos mamy.

— Nie, nie, mówiła, ja się na to za nic nie zgodzę, ja tak kocham Bronisję i Józia, byłabym o nich niespokojna i zachorowałabym jeszcze gorzej. Nie mogę się rozstać z nimi.

Tata nie nalegał więcej, ale się bardzo zasmucił i po chwili wyszedł razem z doktorem. Wtenczas Bronisia spojrzała na braciszka i szepnęła do niego:

— Czy słyszałeś, Józiu, co mówił ten doktor?

— Słyszałem, odpowiedział Józio.

— A czy słyszałeś, co tata powiedział?

— Słyszałem.

— A to, co mama?

Tu już Józio nic nie odpowiedział, tylko

zacisnął usteczka, żeby się na głos nie rozpłakać, a Bronisi łyzy duże jak groch spadły na rączki i na sukienkę, ale cichuteńko płakała; tylko Józio, patrząc na nią, zaszlochał mocniej, aż mama usłyszała i zapytała nie spokojnie:

— Co ci jest, Józiu, czy jeszcze cię boli?

— O nie, nie mnie, nie boli, zawołał Józio i oboje z siostrzyczką pobiegli do mamy.

— Cóż to znaczy, spytała mama, i ty płaczesz, Bronisiu, czy się wam co stało? A Bronisia zarzuciła rączki na jej szyję, wołając:

— Czy ty już będziesz zdrowa, mateczko?

Józio także powtarzał za nią:

— Mateczko, czy ty już będziesz zdrowa?

Teraz dopiero mama ich zrozumiała i łagodnie, poważnie, mówiła do nich w te słowa:

— Mogłabym niezadługo wyzdrowieć, moje dzieci. Doktor powiedział, że do tego potrzeba, żebym odpoczęła, poleżała spokojnie czas jakiś i niczem się nie męczyła, ani

martwiła. Wy wiecie, co mnie najwięcej męczy i martwi. Gdybyście wy byli grzeczni, jabym nie chorowała. Cóż, czy chcecie, żebym była zdrowa?

— Chcemy, mamó, chcemy! wołały dzieci, całując jej ręce i kolana.

— Jeżeli tak, to starajcież się poprawić i to zaraz, od tej chwili. Czy chcecie?

— Chcemy, chcemy! wołały znowu dzieci.

— Ale to nie dosyć mówić „chcemy“ trzeba chcieć na prawdę i ciągle o tem pamiętać. Bóg dał człowiekowi wolę i rozum, który tą wolą ma kierować. Oto w tej chwili odezwało się w was sumienie, zrozumieliście, co jest waszą powinnością, użyjcież teraz woli, ażebyście tę powinność wypełnili.

— Mamó, powiedziała Bronisia, ja chcę być grzeczną, ja chcę koniecznie.

— I ja chcę koniecznie, dodał Józio, chcę, chcę, chcę. I mama będzie zdrowa.

— Dobrze więc, rzekła mama, poproścież Boga, żeby wam w tem postanowieniu dopo-

mógł, a potem starajcie się z całej siły, a jeśli chęci wasze będą szczere, to i Bóg wam z pewnością pomoże.

Dzieci ukłękły i pobożnie odmówiły za matką słowa modlitwy, potem odeszły, żeby mama spokojnie odpocząć mogła. Bronisia umiała już trochę czytać, wzięła książeczkę z obrazkami, pokazywała Józiovi literki i tłumaczyła mu obrazki, ale ani razu się nie pokłócili i mama ani razu nie potrzebowała się do nich zrywać i uspokajać. Wieczorem Józio miał wielką ochotę grymasić i wołać mamy, żeby go rozebrała, ale Bronisia szepnęła tylko: — To już nie chcesz być grzecznym, żeby mama była zdrowa? A on zaraz zawołał: — Chcę, chcę, chcę! I dobra wola zwyciężyła, rozebrał się grzecznie i tak cichutko leżał w łóżeczku, że piastunka wydziwić się temu nie mogła.

Pokazało się, że te dzieci szczerze chciały się poprawić, szczerze Boga o pomoc prosiły.
Świątek Zosi.

sily, bo od tej pory zmieniły się zupełnie. Prawda, że nieraz jeszcze się zdarzało, Józiowi szczególnie, rozpoczynać dawne kaprysy; zdarzało się to nawet i Bronisi, chociaż starszej i rozsądniejszej, ale dość było wtedy, ażeby ktoś jednym słówkiem przypomniiał im chorobę mamy i dobre ich postanowienia, a zawsze się opamiętali, nim jeszcze krzyki i hałasy doszły do pokoju mamy.

Wielka to była radość dla Bronisi i Józia, gdy w parę tygodni potem doktor pozwolił mamie wstać z łóżka i powiedział, że już jest zupełnie zdrowa, że może chodzić po wszystkich pokojach i rozmawiać z dziećmi. Wielka też to była i dla mamy pociecha, kiedy się przekonała, że te dzieci już na prawdę się poprawiły ze wszystkich swoich złych nałogów.

Moja powiastka skończona. Bronisia i Józio odtąd już zawsze byli grzeczni, a mama nie chorowała więcej.

Zosia. Śliczna twoja powiastka, ciociu. Ja byłam pewna, że te dzieci się poprawią, bo inaczej nie chciałabyś o nich opowiadać.

XV.

Zosia. Ciociu, ciociu, patrz, moja fasolka już wyrosła! Ta, com ją sama, swoją rączką w ziemię wsadziła. Już zeszała, już są na wierzchu dwa listeczki, a jakie zabawne, jakieś grube, maleńkie. Ach, cioteczko, chodźno zobacz, czy to czasem nie ziarno wyskoczyło z ziemi. Tak zupełnie, jak gdyby ktoś rozłupał fasolkę i obie połówki do tej maleńkiej łodyżki przykleił.

Ciocia. Oho, jak je poznałaś odrazu. Te pierwsze listeczki, to są na prawdę dwie połówki tego samego ziarna fasoli, któreś ty własną rączką zasadziła. W wilgotnej ziemi

rozmiękły, nabrzmiały, zsunęła się z nich wierzchnia skóreczka, w dół wypuściły korzonek, a same strzeliły do góry i wydobyły się z ziemi na cieniutkiej łodyżce. Patrz, jakie to grube, pełne te listeczki, one mają w sobie żywność dla młodziutkiej roślinki. Tak jak dzieci, póki są bardzo malutkie, nie jeszcze jeść nie mogą, tylko mleko swojej mamy, tak i malutka fasolka, najprzód wciąga w siebie ten mączysty pokarm, który jest w ziarnku ukryty.

Zosia. A potem, jak roślina podrośnie, to już wiem, co się dzieje. Korzonki wciągają z ziemi różne, różne rzeczy i cudowna fabryka się odbywa.

Ciocia. A liście znów z powietrza pochłaniają różne wyziewy i roślina podrosta tym sposobem. Widzę, że dobrze pamiętasz, to, co ci opowiadam.

Zosia. O, wybornie, cioteczko. Ale to dziwna rzecz, ja tyle razy widziałam wscho-
dzące roślinki, a nigdy jeszcze nie spostrze-

głam, że to ziarnko tak zabawnie wyskakuje z ziemi i pęka na dwie połówki.

Ciocia. Bo też nie wszystkie rośliny wschodzą tym sposobem. Ziarnko zboża na przykład wypuszcza jeden tylko listeczek i to zwyczajny, cienki, długi, jak wstążeczka; wiesz, że wszystkie zboża i trawki takie listki mają. Ale ziarno, chociaż pod ziemią zostaje, zawsze młodym tym roślinkom dostarcza pierwszego pożywienia; one umieją dobrą mączkę i z pod ziemi wciągnąć sobie. Otóż widzisz, wszystkie takie roślinki, co tylko jeden listek wypuszczają przy wschodzeniu, tak jak zboże, nazywają się jednoliścienne, a te, co mają aż dwa pierwsze listki, jak twoja fasolka, są dwuliścienne.

Zosia. A jak wyrośnie moja fasolka, to będzie miała dużo listeczków i to daleko ładniejszych, zupełnie innych. Patrz, ciociu, tam za gruszą jest cała grządka fasoli, ale ta fasolka już zupełnie wyrosła, już kwitnie, a nawet ma strączki, tylko jeszcze nie doj-

rzale. Ładnie są te kwiatki fasoli, ale nie można ich zrywać, bo potem niebyłoby strączków i niemielibyśmy na zimę fasoli do sztuki-mięsy.

Ciocia. Niezawodnie; każda roślina najprzód kwitnie, a później kwiat ten wydaje owoc i nasienie.

Zosia. O, ja wiem, ciociu. I wisienka także pierwszej ma śliczne, białe kwiateczki, a ja ich nigdy nie zrywam, bo jak opadną, to się tam pokazują malutkie, zielone jagódeczki i ja już wiem, że one wyrosną, poczerwienieją ślicznie i będą z nich wyborne wiśnie.

Ciocia. Z ciebie widzę roztropna dziewczynka. Dobrze, że tak uważasz na wszystko. W każdym kwiatku możemy znaleźć malutki zawiązek, z którego później wyrasta owoc i nasienie. Weźmy na przykład kwiat fasoli; jeden można zerwać, jeszcze ich tam dużo zostanie. Patrz, jak ten kwiatek wygląda, nakszttał motylka z rozłożonymi skrzydełkami. Te kolorowe listeczki u kwiatków nazywają

się płateczkami. U naszej fasolki każdy płateczek jest odmienny. Jeden największy wygląda jak chorągiewka, albo żagielek, dwa boczne, mniejsze, podobne są zupełnie do skrzydełek motylka, a u dołu dwa inne są zrosłe, stulone i niby łódka wygięte. Tam właśnie po środku, w tej łódce, ukryty jest zawiązek, a te wszystkie ładne, kolorowe płateczki, daleko mniej znaczą od niego, są tylko okryciem, jakby sukienką zawiązka. Patrz, rozdieram łódkę szpilką, czy widzisz, jaki tam malutki, podługowaty zawiązek z niej wygląda? Już i teraz podobny troszkę do strączka. Możemy też samo doświadczenie zrobić na innym kwiatku. A wszak to i wisienki jeszcze kwitną. Niema co, pozwolimy sobie i taki kwiatek urwać. Patrzno, patrz, jeszcze białe płateczki nie opadły, a już widać malutką jagódeczkę.

Zosia. Ciociu, a co to za niteczki takie naokoło tej jagódki, a każda ma na końcu coś

jakby żółty węzełek. Ja i w kwiatku fasoli te węzélki widziałam.

Ciocia. Te niteczki nazywają się pręciami, a węzélki, to są pylniki. Dotknij ich paluszkim. Widzisz, jaki drobny, żółty pyłek został ci na palcu. Ten pyłek bardzo jest potrzebny kwiatkom, bez niego nawet niebyłoby nasienia. Już teraz znasz wszystkie części kwiatu i umiesz je nazwać. Ale nie, jeszcze nie wszystko, bo te kwiatki, które tu oglądamy, mają podwójne okrycie, jedno złożone z tych płatków kolorowych, nazywa się koroną; drugie pod spodem, mniejsze, zielone, nazywają kielichem.

Zosia. To prawda, każdy kwiateczek ma kolorową sukienkę i mały zielony płaszczyk.

Ciocia. Nie każdy. Twoje tulipany nie mają wcale kielichów, tylko korony kolorowe, a są i takie kwiateczki, co niemają ani wyraźnej korony, ani kielicha, tylko jakieś okrycia bardzo skromne i niewidoczne. Takie kwiaty

niepozorne mają zboża i trawy, a także drzewa leśne.

Zosia. Alboż drzewa kwitną, moja ciociu?

Ciocia. Każda roślina, która nasiona wydaje, musi mieć wprzód kwiaty.

Zosia. To i drzewa mają także nasiona?

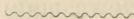
Ciocia. Czy nie widziałaś żołędzi? to są nasiona dębów. Każde drzewo ma swoje.

Zosia. Ach, prawda; a u gruszek, u wiesien, te twarde pestki, to są nasiona. Ja nawet widziałam, jak dziadunio te pestki zasadzał w ziemię; i orzechy włoskie zasadzał także.

Ciocia. Poproście dziadzi, żeby ci pokazał swoje orzechy, jak wyjdą z ziemi, bo one tak zupełnie wschodzą, jak twoja fasolka. Znasz dobrze te smaczne włoskie orzechy, ukryte w twardej skorupie, tak dziwnie powykręcane i pogiete. Otóż gdy ziarno w ziemi rozmięknie i skorupa odpadnie, ten środek pęknie na dwie połówki i wydobędzie się na powierzchnię ziemi, tak jak dwie połówki fasoli

i będą z nich dwa pierwsze listki orzecha, tak samo pogięte i powykęcane.

Zosia. O, jakie to musi być zabawne. Trzeba koniecznie, żeby mi dziadzio to pokazał.



XVI.

Mama, widząc jak Zosia starannie ogródek swój utrzymuje, darowała jej kilka doniczek z pięknymi kwitnącymi roślinkami, a ciocia pomogła jej umieścić te doniczki na środkowej grządeczce, w dołkach umyślnie na to wykopanych. Potem te dołki przysypały się ziemią tak, że doniczek nie a nie widać nie było, i zdawało się, że te piękne roślinki wprost z grządki powyrastały. Była tam fuksya purpurowa, kaktus pąsowy jak ogień i heliotropek, którego drobne kwiateczki nie są okazałe, ale za to pachną bardzo pięknie.

— Te trzy doniczki umieścimy razem, powiedziała ciocia, bo to są wszystko amerykańskie rośliny.

Zosia. Jako, moja ciociu, to te doniczki aż z Ameryki przywieźli mamie?

Ciocia. O, nie. Te roślinki mama wychowała sama z małych gałązeczek, które dostała z jakiejś cieplarni. Taka gałązeczka, zasadzona w ziemię, wypuszcza korzonek, tak jak nasionko, i rozrasta się w krzaczek. Ale kiedyś dawniej najpierwsze gałązeczki fuksyj, kaktusów, heliotropów, musiały być z Ameryki przywiezione do nas, bo te rośliny nigdzie tu nie rosną, ani w lasach, ani na łąkach.

Zosia. Musieli je przywieźć na okrętach tak jak tę kawę, co to opowiadałaś, ciociu, że o mało nie zginęła bez wody, kiedy ją jakiś Francuz wiozł z Arabii na wyspy Amerykańskie. A do nas znów z Ameryki przywieźli kaktusy i fuksye.

Ciocia. Mamy jeszcze z Ameryki inne ro-

śliny, użyteczniejsze daleko od fuksyj i kaktusów, choć nie tak pięknie wyglądają, naprzykład kukurydzę i kartofle.

Zosia. O, ciociu, ty chyba żartujesz. Kukurydza wszędzie w polu rośnie i kartofle także. Czyż to amerykańskie są rośliny?

Ciocia. Ja wcale nie żartuję. Dawniej nie znano u nas tych roślin, dopiero kiedy z Ameryki przywieziono na okrętach pierwsze nasiona kukurydzy i pierwsze kartofle, i kiedy wyrosły w naszej ziemi, zaczęto je hodować po ogrodach, a nawet w polu, i powoli wszędzie się rozpowszechniły.

Zosia. To ja już nie wiem, moja cioteczko dla czego kawa, herbata, nie może wyrość w naszym ogrodzie, a kukurydza i kartofle rosną tak wybornie, chociaż i one także z tych krajów dalekich pochodzą?

Ciocia. Kawa pochodzi z gorących krajów, a nie wszystkie znowu dalekie kraje są gorące. Jak powrócimy do pokoju, to ci pokażę na mapie, gdzie jest na ziemi bardzo go-

rażo, gdzie znów chłodno bardzo i gdzie, tak samo jak u nas, ciepło jest umiarkowane.

Zosia. Ale ja to wiem, ciociu, mama mi wszystko pokazywała na tym okrągłym globusie. Ten globus to jest malutka ziemia; wszystkie kraje i morza są na nim wyrysowane, a na ziemi prawdziwej te kraje i morza są zupełnie takież same, tylko bardzo ogromne. Po samym środku jest linia, ale tylko na globusie, mama powiada, że na ziemi takiej linii nie ma. To się nazywa równik, tam jest najgoręcej. Potem, po obu stronach tego równika, robi się coraz chłodniej, aż na biegunach zaczyna się okropne, okropne zimno.

Ciocia. Wybornie; widzę, że moja Zosieczka już umie troszkę geografii.

Zosia. Wiem także, jakie są części świata; i każdą poznam na globusie. Europa, to tu, gdzie my mieszkamy, potem Azya, Afryka, Ameryka i Australia. Wszystkich jest pięć; ja zawsze liczę na palcach.

Ciocia. Bardzo dobrze. Mogłabyś już na-

wet odbyć podróż naokoło świata, a byłabyto podróż ciekawa i zajmująca; w każdym kraju zobaczyłabyś coś nowego, inne drzewa i ziola, inne zwierzęta, a nawet innych ludzi.

Zosia. A to naprawdę byłoby bardzo zabawnie, żeby tak sobie pojechać po całym świecie, i do tych zimnych krajów, i do tych gorących, a jeszcze żeby z tobą razem, cioteczko.

Ciocia. Chcesz? ja się zgadzam, jedźmy.

Zosia. Jabym, ciociu, naprawdę pojechała z tobą. Miałażbym potem co opowiadać, jakbyśmy powróciły. Szkoda, że to tylko żarty.

Ciocia. Ale ja nie żartem myślę o tej podróży. Czyż zapomniałaś, że obiecałam tu w tym małym ogródku pokazać ci cały świat Boży.

Zosia. Ach, już wiem, ciociu, już wiem. Ty będziesz opowiadać różne ciekawe rzeczy o krajach zimnych i gorących, o dziwnych drzewach, o dziwnych zwierzątkach, a ja te

oczki swoje otworzę, te drugie, co to widzą bardzo daleko i wszystko będę widziała, co tam jest w tych krajach, jak gdybym sama tam była. A gdzież naprzód pojedziemy, ciociu?

Ciocia. Zaraz się namyślimy. Powiedz mi wprzód, czy wiesz, gdzie jest północ, południe...

Zosia. Wschód i zachód; wiem, ciociu, mama mi to na mapie pokazywała. Północ jest u góry, południe u dołu, wschód po prawej ręce, a zachód po lewej.

Ciocia. To na mapie, ale gdybyś chciała podróżować po ziemi, a nie na mapie, to gdzieżbyś miała te cztery strony świata?

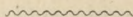
Zosia. Alboż ja wiem, ciociu. A pocóż to do podróży potrzebne?

Ciocia. Zaraz ci opowiem. Patrz, już słońce zachodzi, ono co dzień wieczorem w tej samej stronie się kryje, otóż ta strona nazywa się zachodem. Jeżeli wstaniesz jutro bardzo rano i obaczysz, jak słońce wschodzi, to się

przekonasz, że wschodzi z przeciwnej strony. A teraz obróć się tak, żebyś lewą rączką mogła wskazać zachód, a prawą stronę przeciwną, to jest wschód. Spójrzj wprost przed siebie, ta strona, na którą patrzysz, to jest północ, gdybyśmy się puścili w drogę i ciągle jechały prosto w tę stronę, zajęchałybyśmy aż do bieguna północnego, gdzie jest wielkie zimno. Ale gdybyśmy się obróciły tak, żeby nam północ była w plecy, miałybyśmy przed sobą południe i jadąc wprost w tę stronę byłoby nam coraz to cieplej, i dostałybyśmy się aż do równika, gdzie jest największe gorąco.

Zosia. To doskonale. Teraz już wszędzie trafimy, gdzie nam się podoba.

Ciocia. Tymczasem idźmy do pokoju, bo już pewnie podwieczorek podali. Jutro puścimy się w podróż.



XVII.

Zosia. Ciociu, już pora nam w drogę. Patrz, ja dobrze pamiętam, gdzie jest wschód, zachód, północ, południe, wybornie pokazałam, nieprawdaż? Nie wiem tylko, w którą stronę mamy teraz jechać.

Ciocia. Ja myślę, że naprzód się wybierzemy na północ, bo to będzie najbliżej, a później, gdy się dostaniemy na południe, do gorących krajów, jak się tam rozgrzejemy, to już się nam niezechce mrozić w tych zimnych okolicach, wśród wiecznych śniegów i lodów.

Zosia. Aj, ciociu, poczekaj, usiądę przy tobie i dobrze się przytulę, bo okropnie zziębnę. Hu, jaki mróz!

Ciocia. Mróz potężny, ale bo też i zajęchałyśmy już daleko, jesteśmy już w Laponii. Wszędzie biało w około, wszędzie śnieg

leży ogromny. Teraz pojedziemy saneczkami, a zamiast koni, zaprzęgą nam ze dwanaście piesków.

Zosia. Piesków? prawdziwych piesków? i one będą ciągnąć sanki?

Ciocia. Doskonale; już są przyuczone do tego, konie nie dałyby sobie rady w tych śniegach, pieski polecą jak strzała.

Zosia. Trzymaj mnie, ciociu, żebym nie wyleciała z tych saneczek.

Ciocia. Nie bój się; niezadługo dojedziemy do drugiej stacyi, przepręgą nam inne pieski, a te sobie odpoczną.

Zosia. A gdzie będziemy nocować?

Ciocia. Ej, nieprędko się nocy doczekamy, tu dzień bardzo długi, nie tak jak u nas; noc będzie dopiero za kilka miesięcy.

Zosia. Co, co, czy to naprawdę w tych zimnych krajach takie długie dni?

Ciocia. Ja wszystko mówię naprawdę. U nas także latem dni są znacznie dłuższe, a noce za to krótkie. Ale w zimnych okolicach

podbiegunowych wśród lata, nocy niema wcale, słońce tylko się zniża na niebie, ale nie zachodzi i świeci bez ustanku przez kilka miesięcy. Wtenczas lody i śniegi zaczynają topnieć, i woda odpływa strumiëniami. W zimie nieraz tu śniegi cały las przysypią tak, że tylko czubki drzew wyglądają, jakby jakieś krzaczki, i nieraz żwawe pieski przeleczą przez las z saneczkami, a podróżni nie wiedzą, że jechali po wierzchołkach drzew.

Zosia. O, mój Boże! jak to straszno. A jakie tam drzewa w tych lasach, czy takie same, jak u nas?

Ciocia. Tam rośnie najwięcej drzew sosnowych, co z nich robią choinki na Boże Narodzenie. Wiesz, że sosna nie traci liści w jesieni, tak jak inne drzewa, i przez całą zimę jest zielona. Świerki, jodły, mają także takie trwałe liście, ale za to te liście twarde, cienkie jak igły, nie są bardzo ładne; ztąd nawet takie wszystkie drzewa nazywają iglastymi. Bardzo to dobrze, że one rosną na północy,

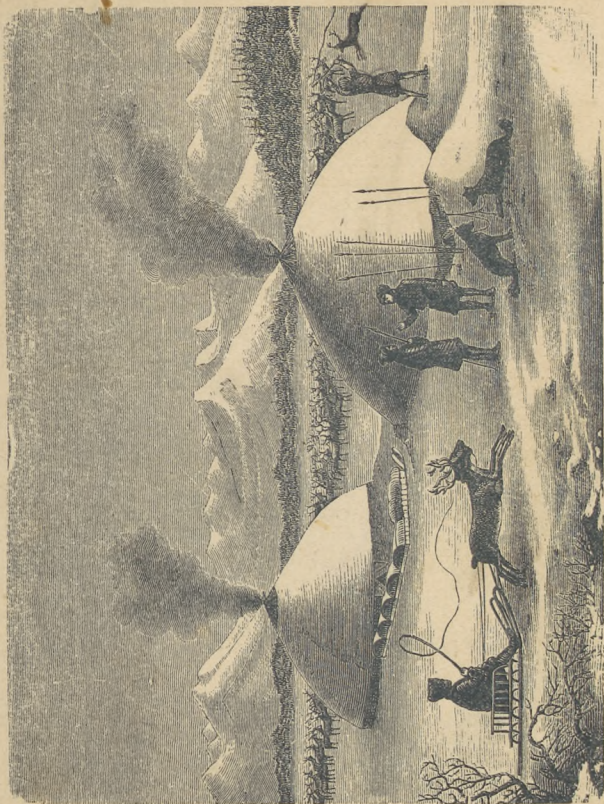
bo tam lato tak krótko trwa, że inne drzewa byłyby prawie ciągle огоłocone z liści. Rosną tam jednak i brzozy i wierzby, ale po większej części wszystkie drzewa są tam daleko mniejsze niż u nas. Nawet wyżej na północy już tylko krzaki rosną, sosny wyglądają tak jak u nas porzeczką i agrest, a wierzby pełzają po ziemi, tak jak małe zioła.

Zosia. A gruszek, jabłek, pewnie tam niema. Biedni ci ludzie w zimnych krajach, nie mają takich dobrych rzeczy.

Ciocia. Gruszek i jabłek nie mają, ale jednak nie są zupełnie pozbawieni owoców. W iglastych lasach na północy rosną różne jagody, borówki, czernice, żurawiny, a nawet maliny bardzo smaczne.

Zosia. To tam latem musi być dosyć ładnie, jak się te śniegi roztopią.

Ciocia. Nie zapomnij, że całe lato nie trwa tam dłużej, jak kilka tygodni i nie jest wcale tak ciepłe jak u nas. Ani lasy, ani łąki nie mogą się tam zazielenić tak pięknie,



Eskimosi.

BIBLIOTEKA
BN
WARO

trawa nawet nie rośnie, tylko mchy i porosty wydobywają się z pod śniegu.

Zosia. Ależ to bardzo ładna rzecz ten mech; taki zielony, mięciutki. Nie wiem tylko, co to znaczy porost.

Ciocia. Widziałaś pewnie nieraz na drzewach, na korze, albo na murach starych, coś jakby skorupki żółte, które tam porastają i nazywają się porostami. Liści nie mają wcale, tylko takie suche plechy, jakby skórzane. Otóż widzisz, w tych zimnych podbiegunowych krajach nie mogą uprawiać zboża w polu, ponieważ trawa nawet nie rośnie, więc ogromne równiny okryte są albo szarym mchem, albo białym porostem. Nie muszą też wesoło wyglądać i w czasie lata gdy na krótko wyjrzą z pod śniegu.

Zosia. Moja ciociu, czy tam mieszkają jacy ludzie, w tych okropnych zimnych krajach? chyba nie, bo cóżby oni tam robili. Nie mieliby nawet co jeść.

Ciocia. A jednak i tam są mieszkańcy, bardzo nędzni, to prawda, Lapończycy, Samojedy i inui. Biedni ci ludzie muszą być ciągle poowijani w futra, nosy i uszy starannie okrywają, żeby ich nie odmrozić. Nie mają ani miast, ani nawet wiosek pięknych, jak w innych krajach, bo są niezmiernie ubodzy; mieszkają w nędznych lepiankach, albo w jamach, które sobie wykopują w śniegu.

Zosia. Ach, ciociu, to strach! jabym tam za nic mieszkać nie chciała.

Ciocia. Oni jednak przywykają do tego życia, i jeżeli się dostaną do cieplejszych krajów, do większych wygod, tęsknią i żałują za swoją ojczyzną, a najczęściej powracają do niej jak najspieszniej.

Zosia. Biedni ludzie. Ale cóż oni tam jedzą, kiedy tam nic nie rośnie?

Ciocia. Lapończycy trzymają trzody, żywią się głównie mięsem, mlekiem i serem. Przywożą też sobie z dalszych stron trochę mąki lub jarzyn.

Zosia. A! więc oni krowy mają. Ale cóż te nieszczęśliwe krowy jedzą, kiedy tam trawa nie rośnie?

Ciocia. Ja nie nie mówiłam o krowach. Bydło Lapończyków jest innego rodzaju; są to renifery, takie jelenie, które się żywią właśnie tym białym porostem, co to pokrywa rozległe łąki w tych okolicach. Zmysłne te zwierzęta umieją nawet z pod śniegu wygrzebać ulubioną swoją paszę. Renifery są skarbem nieocenionym dla ubogich podbiegunowych ludów. Mięso ich dobre jest do jedzenia, dostarczają także mleka, a nawet dają się zaprzęgać do sanek, tak jak konie.

Zosia. Jakież to ładne być muszą takie rogate koniki, ładniejsze jeszcze od piesków. Ciociu, każ zaprzęgać i uciekajmy już z tych zimnych krajów, bo ja zmarzłam strasznie.

Ciocia. A może zajrzymy jeszcze wyżej na północ, aż pod biegun, gdzie morze ciągle zamrożnięte, tak, że trudno poznać gdzie ziemia się kończy, a woda zaczyna. Tam już

nawet reniferów niema i mech nie rośnie, tam tylko ogromne niedźwiedzie białe w śniegu sobie kopią jamy i straszne zęby wyszczerzają do nas. Czasem morze rozmarznie troszkę, i wtenczas ogromne góry lodowe odrywają się i płyną po wodzie jak wyspy.

Zosia. Ach, ciociu, tam straszno, uciekajmy.

Ciocia. Uciekajmy, żeby nas noc nie zaskoczyła, bo i noc będzie trwała kilka miesięcy. Ale się nie przestraszaj, ta długa noc nie jest znów ciągle czarna i ciemna. Tam często bardzo jaśniej na niebie zorza północna. Czasem i u nas to piękne światło widzieć można. Całe niebo robi się wówczas różowe, jak gdyby gdzieś daleko pożar był ogromny. Potem pokazują się jakieś pasy jasne, złociste, purpurowe, wszystko to fałduje się prześlicznie, mieni się, błyszczy, promienie strzelają na wszystkie strony, zdaje się, że całe niebo się pali gdzieś niezmiernie daleko.

Zosia. O, jakież to śliczne być musi. Pamiętam, jak mama mówiła kiedyś w zimie, że była zorza północna u nas. Jaka to szkoda, że ja spałam wtedy.

XVIII.

Ciocia. Cóż, Zosiu, czy i dziś wybieremy się w podróż daleką?

Zosia. Dobrze, cioteczko, ale jedźmy już gdzieś do cieplejszych krajów, już dosyć narzłam się wczoraj z tymi Lapończykami i reniferami i niedźwiedziami białymi, dojechałyśmy podobno do samego bieguna.

Ciocia. Nie, do bieguna nie mogłyśmy dojechać, bo tam jeszcze się żaden podróżny nie dostał. Próbowali nieraz, ale dotąd nie udało się nikomu, bo zawsze te lody nieprzebyte stały na przeszkodzie, musimy więc i my dać pokój z tą podróżą. Ale jeżeli chcesz, poje-

dziemy teraz na południe, tam obaczymy ciekawsze i piękniejsze rzeczy.

Zosia. O, dobrze, ciociu, dobrze, ja wiem w której stronie jest południe.

Ciocia. Jedźmy, nie traćmy czasu. Zatrzymajmy się chwilkę nad morzem Śródziemnem. Jak tu pięknie, cieplej daleko, niż u nas, ale jeszcze nie bardzo gorąco. Różne drzewka i krzewy, które u nas tylko w doniczkach hodują, tu rosną w gruncie, bo zima jest bardzo lekka, ostrych mrozów niema. Piękne gaje pomarańczowe, cytrynowe, są tak pospolite, jak u nas wiśnie, śliwy, jabłonie posadach. Przy drogach, koło płotów, rosną wielkie drzewa cyprysowe, kwitną prześliczne oleandrý, i mnóstwo innych pięknych drzew i krzewów, mnóstwo ziół pachnących a kwiatów bez końca. W polu ryż uprawiają, a ze słomy ryżowej śliczne wyplatają kapelusze.

Zosia. A widzisz, ciociu, jak to dobrze, żeśmy w tę stronę pojechały. Narwiemy dużo, dużo pomarańcz i przywieziemy mamie.

Każemy sobie porobić ładne kapelusze z świeżuteńkiej słomy i dla mamy także.

Ciocia. Możemy tam jeszcze zrobić zapas korków, to się przyda mamie, jak będzie przyrządzać soki i różne konserwy.

Zosia. Alboż tam rosną korki w tym kraju?

Ciocia. Gotowe korki nie rosą, tylko dęby korkowe, z których się robią korki. Są to drzewa podobne do naszych dębów, ale mają niezmiernie grubą korę, którą można ścinać wielkimi kawałami, bo drzewo nie psuje się tym sposobem i nowa kora na niem porasta.

Zosia. I to z tej kory robią się korki? Jakież to dziwne muszą być drzewa z taką białą korą.

Ciocia. Wcale nie, bo tam tylko pod spodem jest gruba warstwa białego, miękkiego korka, a zwierzchu ta kora ma zwyczajną, ciemną i twardą skorupę. A możebyś chciała zobaczyć Wezuwiusz, górę buchającą ogniem?

Zosia. O, nie, ciociu, ja się boję. Widziałam Wezuwiusz na obrazku. Mama mówi, że takich gór jest dużo na świecie; nazywają się wulkanami, ale jabym ich widzieć nie chciała zblizka.

Ciocia. Jak chcesz; zresztą wulkany czasem tylko ogniem buchają, może też Wezuwiusz będzie zupełnie spokojny, kiedy my w tę stronę zajedziemy. A teraz puszczajmy się dalej, bo już tu nad morzem Śródziemnem nie tak ciekawego niema. Ale niedaleko jest kraj zwany Szwajcaryą, a tam bardzo wysokie góry, Alpy. Może się zwrócimy w tę stronę, i obejrzymy góry, nim wyjedziemy z Europy.

Zosia. Dobrze, ciociu, wstąpmy sobie na chwileczkę do tych gór.

Ciocia. Nie traćmyż czasu, żwawo, pod górę, musimy się dostać na najwyższe szczyty. Zabierzmy z sobą ciepłe ubranie, bo tu nam chłodniej będzie.

Zosia. Alboż te góry są w zimnym kraju?

Ciocia. O nie, u stóp Alp jest ciepło i oleandry kwitną w gruncie i winogrona pięknie dojrzewają, ale im wyżej się wdrapujemy na góry, tem chłodniej się robi, tak zupełnie, jak gdybyśmy jechały na północ. Spotykamy po drodze piękne lasy dębowe, bukowe, idziemy wyżej, aż tu widzimy przed sobą sosnowe bory, jodły, modrzewie, same iglaste drzewa i już na dobre zaczyna być zimno. Mgła taka gęsta, że nic nie widać przed nami. Śpieszmy, śpieszmy, coraz wyżej, już się rozjaśnia, mgła została za nami. A teraz spojrzysz w dół; czy widzisz co to za mgła była? to chmura, my przeszliśmy przez chmurę i ona została sobie niżej, a my dostałyśmy się bardzo wysoko, wyżej od chmury. Oho, to coś nowego, śnieg zaczyna padać wśród lata, i drzew coraz mniej widać, sosny nawet coraz to mniejsze, nakoniec takie malutkie, jak krzewy; nazywają te drobne sosenki kosodrzewiną. Zupełnie tu jest tak, jak w krajach podbiegunowych, wyżej już nawet trawa nie rośnie, tylko mchy i porosty.

Wszędzie biało od śniegu, jakieś ogromne skały sterczą przed nami, takie białe, dziwne, o mój Boże! lód, to są lodowce, ogromne masy, prawdziwe góry z lodu. Słysząc huk straszny z daleka, strzeżmy się, stańmy z boku, tam z wysoka leci coś białego, jakby chmura ogromna. To lawina, niezmierna masa śniegu oderwała się i spada w doliny. Czasem taka lawina całą wioskę przysypać może i żywcem zagrzebać nieszczęśliwych mieszkańców.

Zosia. Ach, ciociu, uciekajmy, żeby nas jeszcze nie zasypała ta straszna lawina.

Ciocia. Poczekaj, nie śpiesz się tak. Już na tych szczytach wysokich nie mamy co widzieć, bo tu nawet mech nie wyrasta, a śniegi i lody nigdy nie topnieją, ale powoli spuszczały się na dół i nie zapomnij po drodze zbierać sobie kwiatków.

Zosia. Alboż tam są jakie kwiatki, kiedy tam tak zimno?

Ciocia. Na samych szczytach niema, ale trochę niżej, gdy słońce przygrzeje i śnieg

roztaje, zaraz z pod śniegu wydobywają się różne ziółka i drobne krzewiny; po większej części są niskie, pełzają prawie po ziemi, ale kwiaty bardzo ładne o jasnych, żywych barwach, cudnie odbijają od szarych mchów i ciemnej zieloności kosodrzewiny. Darmobyś takich kwiatów szukała po naszych łąkach i lasach, one tylko na wysokich górach wystają. Możebyś jeszcze chciała obaczyć gniazdo orle? orły bardzo lubią góry i zwykle tam na skałach budują swoje gniazda, nagromadzając do tego wielkie stosy gałęzi. Ale nie zbliżajmy się do tych gniazd, bo orły są niezmiernie drapieżne, gotowe się nawet na ciebie rzucić. One czatują na małe koźlęta, chwytają je potężnymi szponami i niosą do gniazd dla swoich piskląt.

Zosia. O, moja ciociu, a czemuż pastuszek nie pilnuje tych biednych, małych koźlątek.

Ciocia. Ja tu nie mówię o kozach domo-

wych, co to żyją pod opieką ludzi. W górach przebywają dzikie, skalne kozy, górale polują na nie, tak jak na zające i inną zwierzynę. Te kózki są bardzo ładne, latem mają sierść płowo-szarą, a na zimę ciemniejszą i stają się prawie czarne. Skaczą nadzwyczaj zręcznie; nieraz umykając przed strzałem, przeskakują z jednej skały na drugą ponad okropnymi przepaściami, takie potężne dając susy, że chyba ptak dogonić nie potrafi.

Zosia. Jakież to śliczne muszą być te kózki. Ale cóż one tam jedzą, moja ciociu, kiedy nie ma pastuszków, coby o nich pamiętali?

Ciocia. Dzikie zwierzęta nie potrzebują, żeby ludzie o nich pamiętali. Pan Bóg o nich pamięta, daje im zawsze taki pokarm, jakiego potrzebują. Kozy skalne żywią się różnemi górskimi ziołami, odgryzają pączki na krzakach, pasą się tak, jak wszystkie zwierzęta roślinożercze.

Zosia. Ale pocóż ci strzelcy je zabijają?

Ciocia. Naprzód dla mięsa, tak jak każdą zwierzynę, a potem dla skórek, z których robią kaftaniki, spodnie, a nawet rękawiczki bardzo dobre, zwane zazwyczaj zamszowemi. Może też spotkamy gdzie świstaka.

Zosia. A toż co znowu za świstak, ciociu?

Ciocia. Zabawne to jest zwierzątko, podobne trochę do wiewiórki. Latem rusza się żwawo, zajada różne ziółka, ogryza krzaczki a na zimę zagrzebuje się w jakiejś norze i tak doskonale zasypia, że się przebudza dopiero aż na wiosnę.

Zosia.. Jakto? śpi całą zimę? i nie nie je przez ten czas?

Ciocia. Nie może jeść, kiedy śpi. Ale też za to powiadają, że świstak, który bywa bardzo tłusty i dla tej tłustości przez górali jest poszukiwany, przebudza się chudy jak hak na wiosnę. Daleko bliżej od nas leżą inne góry, Tatry i te zapewne zwiedzisz na-

prawdę, bo mama się tam wybiera na przyszły rok. Obaczysz w Tatrach prawie to wszystko co w Alpach, tylko lodowców tam niema, bo Tatry nie są tak bardzo wysokie jak Alpy. Ale śnieg leży na szczytach przec całe lato, po skałach skaczą dzikie kozy, które tam górale kozicami nazywają, świstaki zasypiają po norach, ładne kwiateczki kwitną wszędzie, a na wyżynach rozsiada się karłowata kosodrzewina. Ale na dziś już dosyć nasiedzieliśmy się w górach, pora już wracać do pokoju.

XIX.

Zosia. Ciociu, ja już gotowa jestem do podróży, gdzież teraz pojedziemy?

Ciocia. Już zwiedziłyśmy całą Europę, teraz wsiadajmy na okręt, przepłyniemy morze Śródziemne, i wsiądziemy w Afryce.

Zosia. Wybornie, cioteczko, płynemy.

Ciocia. Śródziemne morze jest niewielkie, nie długo płynąć będziemy, otóż i Afryka. O, jakież tu upał straszny.

Zosia. Ach, ciociu, to my już w tych okropnie gorących krajach jesteśmy, Opowiadaj, co my tam zobaczymy.

Ciocia. Naprzód widzimy jakieś drzewa, zupełnie nie podobne do naszych. Wysokie, cienkie, proste, jakby ogromne trzciny; nie mają ani konarów, ani gałęzi, tylko na samym wierzchołku niezmiernie wielkie liście, w jedną wiązkę zebrane, rozkładają się nakształt parasoli. Ale tam coś jeszcze widać pomiędzy temi liśćmi, jakieś grona ogromne się zwieszają, to owoce; ty znasz te owoce, Zosiu; jadłaś je nieraz z wielkim smakiem, zgadnij, co to jest?

Zosia. Ale zkądże ja to jeść mogłam moja ciociu, toż ja pierwszy raz zajechałam do gorących krajów.

Ciocia. Świeżych nie jadłaś, tylko suszo-

ne do nas przywożą. Cóż, nie domyślasz się?
to daktyle.

Zosia. Ach, daktyle! to one na takich
dziwnych drzewach rosną?

Ciocia. Takie drzewa nazywają palmami.
U nas ich niema, bo one wielkiego ciepła po-
trzebują, ale w gorących krajach rośnie mnóz-
two rozmaitych palm. Palmy daktylowe wy-
dają te wyborne daktyle, które tak lubisz;
palmy kokosowe mają znów orzechy wielkie
jak tykwy, w środku napełnione wybornem,
słodkiem mlekiem, podobnem do mleka mig-
dałowego. Gdy orzech dojrzeje, mleko to
krzepnie i zamienia się w smaczne i posilne
ziarno. Inne palmy, dostarczają tej smacznej
sagowej kaszki, którą znasz dobrze.

Zosia. Ja nie wiedziałam, ciociu, że kaszka
sagowa rośnie na drzewie.

Ciocia. Sago nie rośnie na drzewie, ale
się znajduje w środku pnia. Żebyś to lepiej
zrozumiała, chodźmy obejrzyć tę ściętą gałąź,

co tu leży niedaleko. Widzisz że tu po samym środku jest drewno odmienne, bielsze i znacznie miększe; popróbuj szpilką, obaczysz, jak łatwo się da przebić. To się nazywa rdzeń drzewa. W palmach ten rdzeń jest jeszcze daleko miększy i więcej miejsca zajmuje, tak, że czasem prawie cały pień wypełniony jest taką masą gąbczastą. Otóż to z tej masy przyrządzają sago. Trzeba jednak wiedzieć, że u nas z kartoflowej mąki robią kaszkę zupełnie podobną i także ją sagem nazywają, ale sago palmowe jest daleko lepsze. Te piękne palmy wydają jeszcze mnóstwo smacznych i użytecznych rzeczy, różne wyborne owoce, których niepodobna wyliczyć, a oprócz tego cukier i wino. Trzeba tylko w pniu wywiercić dziurkę, a natychmiast ztamtąd wycieka sok słodki; ten sok, gdy trochę postoi i wyburzy się, zamienia się w wino, tak samo, jak sok z winogron; z tegoż samego soku można mieć i cukier, trzeba go tylko mocno wygotować, żeby woda wyparowała, a cukier wte-

dy zostanie na spodzie. Tym samym sposobem robią cukier i z burakowego soku.

Zosia. Jaka to szkoda, że te śliczne drzewa u nas nie rosną.

Ciocia. W tych krajach, gdzie takie straszne upały panują, trudniej jest ludziom pracować. Pamiętasz, wczoraj, kiedyśmy poszły na żniwo, widziałas, jak pot spływał z czoła żniwiarzy i bardzo żalowałaś tych ludzi, że się tak muszą męczyć w taki gorący dzień. U nas jednak jest ciepło umiarkowane, ale w gorących krajach na taką pracę nie starczyłoby sił ludziom; to też Bóg dobry dał im mnóstwo takich szacownych drzew i roślin rozmaitych, ażeby mogli mieć pokarm bez wielkiego trudu. Gdzie tylko jest dosyć ciepło dla palm, tam obok nich rosną także banany.

Zosia. Cóż to za banany, ciociu? czy także jakieś piękne drzewa?

Ciocia. Wyglądają zupełnie jak drzewa i są prawie tak wysokie, jak palmy; ale nie mają wcale twardego drzewiastego pnia, tylko



Wylew Niiu.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

ogromną, grubą łodygę zieloną. Liście bananów są także niezmiernie wielkie, grube, i cała ta potężna łodyga złożona jest po prostu z liści, które, wyrastając od samego dołu, owijają się jedne na drugich ogromnymi, spłaszczonymi ogonkami. Owoce bananów, wielkości naszych ogórków, zwieszają się w gronach wspaniałych. Mieszkańcy gorących krajów najrozmaitsze z nich przyrządzają pokarmy: jedzą je surowe, gotują, a nawet pieką jak chleb.

Zosia. Ciociu, weźmy z sobą ze dwa koszyki, duże, ogromne koszyki, w jeden narwiemy mnóstwo daktylów, a w drugi bananów i przywieziemy do domu, żeby się wszyscy najedli. A czy tam bułeczki nie dostanie w gorącym kraju? Może i leguminki niema z czego zrobić, kiedy tam ludzie nie uprawiają zboża?

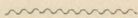
Ciocia. W północnej Afryce, w Egipcie, zboże bardzo piękne rośnie; tam nawet żniwo bywa dwa razy do roku, bo tam niema ani

śniegów, ani mrozów i rośliny nie potrzebują zamierać na kilka miesięcy, tylko ciągle rosną i zielenią się pięknie. Jest jednak i tam różnica pomiędzy zimą i latem; przez kilka miesięcy rzadko kiedy deszcz pada, pogoda trwa prawie bez przerwy, a później znów przez pół roku ciągle deszcze padają; tak, że tam nie mówią: już prędko zima nastanie, ale: już pora deszczów nadchodzi. W Egipcie płynie rzeka Nil, która przez większą część roku wygląda jak rzeka zwyczajna, ale w czasie tych długich deszczów taka masa wody do niej przybywa, że się pomieścić nie może w zwyczajnem korycie i wtedy Nil wylewa, a cały kraj otaczający wygląda jakby jakieś ogromne jezioro. Mieszkańcy muszą jeździć łodziami po tych samych drogach, które wprzód najwygodniej przebywali pieszo lub wozem. Ale potem, kiedy wody opadną, tam się najlepiej udają zasiewy. Trzeba ci wiedzieć, że w Egipcie, chociaż jest cieplej daleko, aniżeli u nas, niema jeszcze takich straszliwych upałów, jak

w środkowym pasie ziemi, w tem miejscu, gdzie to na mapie wyrysowany jest równik. Pod równikiem już zboże nie udaje się wcale, bo jest za gorąco; choćby je ludzie zasiałi, nie mieliby ztąd korzyści, bo tam zdźbła przez cały rok się zielenią, ale kłosów z ziarnem nie wydają.

Zosia. To nic, ciociu, obejdziemy się bez bułeczki, bo tam muszą być inne dobre rzeczy, jedźmy do tych bardzo gorących krajów.

Ciocia. Dobrze, dobrze, ale troszkę później, bo mama nas teraz woła.



XX.

Zosia. Ciociu, już kwiateczki podlane i ja już jestem gotowa do drogi. Patrz, mama mi dała wachlárz, żebym miała się czem

ochłodzić, jak pojedę do gorących krajów. Mama mówi, że ja z tamąd pewnie powrócę czarna, jak murzynka.

Ciocia. Mama sobie żartuje; tybyś nie mogła zmienić się w murzynkę, kiedyś się urodziła białą. Murzyni są czarni od urodzenia, oni mieszkają w Afryce, właśnie w tych krajach bardzo gorących, do których teraz jechać mamy.

Zosia. Jedźmy już, ciociu; a czy koleją pojedziemy?

Ciocia. W Afryce środkowej niema jeszcze kolei. Możemy wsiąść na łódkę i pojechać rzeką Nilem. Ale może się będziesz bała krokodyłów?

Zosia. Krokodyle! ja wiem, co to jest; to takie ogromne jaszczurki, ja je widziałam na obrazku. Takie straszne zęby mają.

Ciocia. W Nilu jest bardzo dużo tych drapieżnych krokodyłów. Nie radzę ci się kąpać w tej rzece, bo tam często można się spotkać z taką ogromną paszczą, najeżoną

straszliwemi zębami, a te zęby nawet dorosłego człowieka zchrupią jak sucharek.

Zosia. O, moja ciociu, nie jedźmy my tym Nilem, ja się okropnie boję krokodyłów.

Ciocia. To lepiej wsiądźmy na wielbłąda. Wszak widziałaś także na obrazku to wielkie zwierzę, co ma garb na plecach, a czasem aż dwa.

Zosia. A czy tych wielbłądów nie trzeba się bać? czy one nas nie zagryzą?

Ciocia. Broń Boże. To są bardzo dobre i łagodne zwierzęta. Zresztą, pocóżby nas miały zagryzać, kiedy one są roślinożerne, jedzą tylko trawy, zioła, ziarno, tak jak krowy i owce. Takie zwierzęta nazywają także odżuwającami. Może widziałaś kiedy, jak krówka, powróciwszy z pastwiska, odpoczywa sobie w stajni, a choć tam nie niema do jedzenia, ciągle porusza pyskiem, jakby coś gryzła.

Zosia. Widziałam, ciociu; raz nawet mnie mama krówką nazwała, bo przez cały wieczór nosiłam w kieszonce migdały i ciągle je gryz-

łam. Ale krówka niema żadnej kieszonki i tak tylko nibyto coś gryzie.

Ciocia. I owszem, ona właśnie ma kieszonkę a raczej torbę, niedaleko przełyku ukrytą. Pasąc się w polu, z gruba tylko przegryza trawę, która po przełknięciu do tej torby się dostaje. Później, mając czas swobodny, wydobywa ten pokarm na powrót do pyska i dokładniej go przeżuwa, ażeby łatwiej się dał strawić. Potem dopiero przełyka to wszystko po raz drugi i pakuje już wprost do żołądka. I wielbłąd tym samym sposobem się żywi. Poczciwe to zwierzę wybornie się nadaje do podróży po spiekłych amerykańskich pustyniach, bo jest niezmiernie wytrwałe; gdy niema lepszej paszy, zadawalnia się jakimikolwiek chwastami i twardymi gałązkami, powiadają, że nawet stare koszyki zajada ze smakiem, jeżeli nie znajdzie nic lepszego; długo też może się obejść bez wody, bo pije na raz bardzo dużo i zawsze sobie zostawia zapas wody na później w fałdach swojej torby.



Podróż na pustyni.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

Zosia. Ale cóż my tam jeść i pić będziemy.

Ciocia. Musimy brać z sobą zapasy jedzenia i wody. Mamy do przebycia ogromną pustynię, gdzie niema żadnej roślinki, ani kropli wody, tylko niezmierna masa piasku, jakby morze piaszczyste. Ale jakoś my ztamtąd wybrniemy, byle nas tylko huragan nie zaskoczył na drodze.

Zosia. Ach, ciociu! ja się boję, to coś strasznego musi być ten huragan.

Ciocia. To jest nadzwyczaj silny wichur, okropna burza bez deszczu, bo na pustyni nigdy deszcz nie pada; ale za to straszliwe tumany piasku zrywają się z wiatrem, podnoszą się w górę, potem z szalonym pędem opadają, zasypując wszystko po drodze.

Zosia. Ach, cioteczko, jeszcze nas zasypie ten straszny huragan.

Ciocia. Zasypałby nas, jak nic; nawet sam wichur mógłby nas udusić, bo jest tak gorący, rozpalony, jak gdyby wiał od jakiegoś

peżaru. Ale my uciekniemy prędko i schronimy się do jakiej pięknej oazy.

Zosia. A toż znów co takiego, ta oaza?

Ciocia. Wyobraź sobie wśród tych piaszków niezmiernych, jakby wyspę zieloną, rozkoszną, prześliczne gaje drzew daktylowych, źródła wybornej wody, coś tak, jak ogród na pustyni. Na noc rozpalimy sobie wielki ogień, żeby odstraszyć drapieżne zwierzęta, które się lękają płomienia.

Zosia. Oho! to niedobrze, że tam są drapieżne zwierzęta. A czy bardzo straszne, ciociu?

Ciocia. Okrutne hyeny i najogromniejsze lwy właśnie w Afryce przebywają. Widziałas te zwierzęta na obrazkach.

Zosia. Wiem, ciociu, wiem; hyena to ta brzydka, szkaradna; lew daleko ładniejszy, żółty z ogromną grzywą; jabym chciała widzieć lwa żywego, ale tak, żeby on mnie nie widział.



Oaza na pustyni.



Ciocia. W Afryce możemy jeszcze obaczyć słonie i żyrafy.

Zosia. Słoń, to ten ogromny, co ma takie grube nogi i wielką trąbę, a żyrafa to znów szyję ma bardzo długą.

Ciocia. Są to zwierzęta łagodne i spokojne. Ogromne słonie pasą się na łąkach tak jak nasze krowy, a żyrafy wyciągają długie szyje i ogryzają wierzchołki drzew. Dalej spotkamy pewnie stado strusi, tych wielkich ptaków, co mają takie piękne pióra.

Zosia. Te śliczne, co są u mamy przy kapeluszu; wiem, wiem. Więc to aż z Afryki je przywieźli mamie? Żebyż to można złapać choć jednego strusia i urwać mu dużo piór.

Ciocia. Nie wiem, czy nam się uda ta sztuka, bo chociaż strusie latać nie umieją, ale nadzwyczaj szybko biegają. Ja myślę, że w Afryce nie mamy już co robić dłużej, bo tam kraje strasznie dzikie, nigdzie nie napotkamy ani miasta, ani nawet wioski porządniejszej, tylko nędzne lepianki, gdzie mieszkają ludzie

czarni, czasem drapieżniejsi od zwierząt, bo jedni drugich pożerają.

Zosia. Ach, ciociu, uciekajmy, ci straszni ludzie gotowi nas jeszcze zjeść.

Ciocia. Oj, pewnie by nas nie pożałowali, żebyśmy się dostali w ich ręce. Już lepiej nie zapuszczajmy się w głąb Afryki, bo to nie łatwa podróż. Dotąd jeszcze i odważniejsi od nas podróżnicy nie zwiedzili dokładnie tej części świata, bo wszędzie tam napotykali straszne trudności i niebezpieczeństwa. Widzieli jednak bardzo piękne kraje, wcale nie podobne do tej piaszczystej pustyni, gdzie takie okropne bywają huragany; widzieli lasy wspaniałe, w których rosną różne drzewa osobliwe, widzieli piękne rzeki, bogate pastwiska, a na nich niezliczone trzody słoni, nosorożców, bawołów i innych zwierząt. Po lasach przebywają ogromne małpy, goryle, szympansy, silniejsze od ludzi i niezmiernie drapieżne. Znajdziesz je w tej wielkiej książce z obrazkami, zwanej historią naturalną. W rzekach znów

żyją wielkie, ciężkie hipopotamy, czyli wodne konie, które także zapewne na obrazkach widziałeś. Ale dosyć na dzisiaj, jutro wybierzemy się gdzieś w inne strony.



XXI.

Zosia. Gdzie teraz jedziemy, ciociu? Pewnie znowu do dzikich i pustych krajów, gdzie niema ani miast, ani ludzi grzecznych, coby nam jeść dali. Ja prosiłam mamy, żeby nam jakieś zapasy na drogę przygotowała. Mamá nałożyła mi tu w koszyczek aż cztery pierożki z powidłami, tabliczkę czekolady, migdałów, rodzenków i fig. Teraz już nie będziemy głodne.

Ciocia. Zapasy możesz zabierać w każdym razie, chociaż spodziewam się, że w Azji nie doznamy głodu, bo na całym świecie niema

takich wybornych owoców. Prawie wszystkie owocowe drzewa w naszych ogrodach zasadzane, smaczne winogrona, a nawet te pomarańcze, cytryny, migdały i figi, które w cieplejszych krajach Europy rosną, dawniej kiedyś z Azji były sprowadzone. Czy pamiętasz, z której strony jest wschód słońca? otóż to w tę stronę musimy się puścić, ażeby się dostać do Azji. Długa to będzie i uciążliwa podróż, bo Azja ze wszystkich części świata jest najrozleglejsza a mieszkańcy jej, chociaż mają dość piękne miasta, nie lubią jednak obcych ludzi, szczególnie z Europy przybyłych i trudno tam się do nich dostać. Dla nas ciekawsze od tych miast są stepy i lasy. Stepy są to niezmiernie równiny, zarośnięte trawą i ziołami rozmaitemi. Czasem ta trawa jest ostra, koląca, sucha, tak, że żadne bydło jeść jej nie może, ale najczęściej step podobny jest do jakiejś rozkosznej łąki, wyborną paszą pokrytej; wśród zielonej, miękkiej jak jedwab trawy wykwita mnóstwo najcudniejszych kwiatów, zioła wyrastają

wysokie jak drzewka, a po ziemi pełzają długie, wąsate łodygi arbuźów i melonów.

Zosia. Jakto, ciociu, tak poprostu na łące, rosną sobie wyborne arbuzy i melony, tak jak u nas różne polne zioła? Cóż to za przesliczny kraj.

Ciocia. Dalej znów zaczynają się lasy ogromne, a w nich drzewa, do naszych podobne, tylko okazalsze. Są między nimi i owocowe, ale takie owoce, dziko po lasach roszące, nie mogą być tak dobre, jak te, które po ogrodach pielęgnują starannie. W tych lasach azyatyckich rośnie także mnóstwo winogron; giętkie ich gałązki owijają się na drzewach, wspinają się na najwyższe szczyty, a wśród pięknych, wyciętych liści, zwieszają się grona zielone i czarne. Prawda, że te jagody są mniejsze i kwaśniejsze od hodowanych. |

Zosia. Ale zawsze muszą być dosyć dobre. Już ja widzę, że my tam w Azji nie będziemy głodne. Jak wyjdziemy z tych ogromnych la-

sów, to znów pewnie będą śliczne łąki, gdzie rosną arbuzy.

Ciocia. Po drodze napotkamy także rzeki, jeziora, a nad brzegami tych wód obaczymy ogromne trzciny, wyrastające jak las. Ale zbliżać się do nich będziemy z wielką ostrożnością, bo tam się kryją straszne jadowite węże, a nawet drapieżne zwierzęta.

Zosia. Ach, to i tu są te okropne drapieżne zwierzęta?

Ciocia. W Azji znajdziemy prawie też same zwierzęta, któreśmy w Afryce widziały, tylko tam jest daleko więcej lwów, a w Azji za to więcej ogromnych tygrysów i lampartów.

Zosia. Ciociu, nie mów ty już o tych okropnych tygrysach, bo ja się ich boję. Opowiadaj coś ładniejszego.

Ciocia. Może chcesz wstąpić do Chin i zobaczyć Chińczyków?

Zosia. Dobrze ciociu. Czy oni doprawdy tak zabawnie wyglądają, jak na pudełkach od



Chinczycy.



herbaty? Czy takie mają małe oczki i żółte twarze, i długie suknie kolorowe?

Ciocia. Tak, Chińczycy wcale nie są ładni, skórę mają żółtą, włosy czarne i oczki takie małe i wpadnięte, jak na tych obrazkach.

Zosia. Ja wiem, ciociu, co tam jest w Chinach ciekawego; herbatka.

Ciocia. O herbatce już przedtem mówiłyśmy dosyć, możemy też pożegnać się z Chińczykami i jechać dalej. Teraz zwróćmy się na południe. Ale tu nie łatwa będzie przeprawa, bo nam staną na drodze największe góry na całej ziemi, góry Himalaya.

Zosia. Nic nie szkodzi, cioteczko, czy to my nie potrafimy się na te góry wdrapać.

Ciocia. Nim jednak wdrapiemy się na góry, przygotujmy sobie ciepłe ubranie. Tu na stepach, nieraz nam dokuczyło gorąco, ale na górach porządnie zmarzniemy.

Zosia. To i na tych górach także tak zimno? ale śniegu pewnie niema, bo to gorące kraje.

Ciocia. I owszem. Na szczytach przez cały rok leżą śniegi i lody, żadna roślina tam nie rośnie, dopiero niżej pokazują się mchy i porosty, potem różne niskie krzaczki, piękne górskie kwiaty, a z nich najpiękniejsze rododendrony, które u nas często w doniczkach hodują.

Zosia. U nas jest taki rododendron, podobny trochę do oleandra, taki duży, piękny krzak, a kwiaty ma prześliczne, różowe, w ogromne pęki zebrane.

Ciocia. Na górach Himalaya rododendrony wyrastają czasem tak wielkie, jak drzewa, i zawsze mają wspaniałe, jaskrawe kwiaty, różowe, żółte, purpurowe lub białe. Trochę niżej rosną znów lasy iglaste, to jest złożone z samych sosen, jodeł i innych takich drzew, które mają liście wąskie, do igieł podobne i szyszki o twardych łuskach. Niżej jeszcze są dęby, i różne liściaste drzewa, a niżej jeszcze, zaczyna być coraz cieplej, aż wreszcie nastają wielkie upały i w dolinach widzimy całkiem odmienne rośliny, takie, co tylko w gorących kra-

jach rosą. Palmy, banany, podobne do tych, któreśmy już widziały w Afryce, bawełna, trzcina cukrowa, o której przynajmniej słyszeć coś musiałaś.

Zosia. Wiem, wiem, cioteczko; ta trzcina, podobna jest do tej, co na stawach rośnie, tylko jeszcze większa, a gdy się natnie nożem tę grubą łodygę, to z niej wycieka słodki cukrowy sok. Z tej trzciny robią cukier w gorących krajach, tak jak u nas z buraków. Mama mi to opowiadała.

Ciocia. Teraz po przebyciu gór Himalaya dostaniemy się do Indyj. Znajdziemy tu wielkie mnóstwo drzew osobliwych i różnych ciekawych roślin.

Zosia. Ale, moja ciociu, czy my tam ciągle piechotą chodzić mamy po tych azjatyckich krajach? Ja się okropnie zmęczone. W Afryce mieliśmy wielbłądy.

Ciocia. A tu możemy wsiąść na słonia. Tu taki zwyczaj, Indianie jeżdżą na słońiach.

Zosia. A jakże my się wdrapiemy na takiego ogromnego zwierza?

Ciocia. Przystawią nam drabinę, a na grzbiecie słonia urządzą coś nakształt domku, w którym wygodnie siedzieć sobie możemy. Bezpieczniej nawet nam będzie, bo tu wszędzie niezmierne mnóstwo drapieżnych tygrysów się błąka, ale tygrys nie rzuci się na starego słonia, on zwykle tylko młode słoniki napada. Potem wsiądziemy na okręt i zwiedzimy jeszcze wyspy azyatyckie, gdzie także znajdziemy mnóstwo ciekawych rzeczy. Tam rosną drzewa chlebowe, na których owoce wyglądają tak, jak bochenki chleba i upieczone smakują prawie tak, jak chleb prawdziwy.

Zosia. To śliczna rzecz, ciociu; my sobie narwiemy dużo takich chlebów i weźmiemy z sobą na drogę.

Ciocia. Możemy także zbierać zapas kokosowych orzechów, bo tu najwięcej rośnie takich palm. Tu także znajdziemy wszystkie pachnące korzenie, pieprz, gałkę muszkatoł-

wą, goździki i cynamon. Ten cynamon zwinęty w trąbki, który widziałś w szafie u mamy; to jest kora zdjęta z gałązek drzewa i ususzona. A co tam zwierząt i ptaków różnych, to nawet trudno wyliczyć. Ogromne małpy, podobne bardzo do człowieka, nazywają się orangutany, prześliczne papugi, a nadewszystko wspaniałe ptaki rajskie, z ogromnemi złotemi ogonami, które masz także na obrazku. Ale teraz wracajmy do pokoju, bo mama musi być niespokojna, że my tak długo w Azji bawimy.

XXII.

Zosia. Gdzie my teraz pojedziemy, cioteczko? Już byliśmy w Afryce i w Azji.

Cioca. A jakież są jeszcze części świata?

Zosia. Wszystkich jest pięć. Europa, Azja, Afryka, Ameryka i Australia. A, już wiem, teraz pojedziemy do Ameryki.

Ciocia. Otóż nie zgadłaś; Amerykę zostawimy na sam koniec, a teraz wstąpimy do Australii.

Zosia. To jakiś taki mały łódzik, ta Australia. A czy jest tam co ciekawego do widzenia?

Ciocia. Tak bardzo ciekawego nie niema, ale są różne rzeczy dziwne i kiedy już wybrałyśmy się w podróż naokoło świata, to trzeba i Australią zwiedzić. Obaczymy tam najprzód kangury, szczególne zwierzęta, mające przednie nogi króciutkie i malutką główkę. Za to tylne ich nogi są długie i silne niezmiernie, to też nie chodzą na czterech łapach, tak jak inne zwierzęta, tylko skaczą na tych tylnych, podpierając się długim, sprężystym ogonem i tym sposobem z nadzwyczajną szybkością uciekają przed niebezpieczeństwem ogromnymi skokami. Kangury są roślinożerne, mięso ich ma być bardzo smaczne, i myśliwi polują na nie często. Zwierzęta te pasą się zwykle gromadnie; najczęściej siedzą sobie na tylnych nogach, tak że

zdala można je wziąć za ludzi; ale spłoszone zrywają się nagle i wyskakują po swojemu. Samice uciekając chwytają swoje małe i pakują je do kieszeni.

Zosia. Do kieszeni? dzieci swoje chowają do kieszeni? czyż one mają sukienki z kieszeniami te zabawne zwierzęta?

Ciucia. Kangury nie noszą sukien, własne futerka im wystarczają, tak jak i innym zwierzętom, ale mają w skórze swojej, pod brzuchem, wyborne woreczki, zupełnie tak jak kieszenie i mogą tam najwygodniej chować swoje małe. Ztąd nawet nazywają je zwierzętami workowatemi.

Zosia. To bardzo zabawne muszą być te kangury z kieszeniami.

Ciucia. A widzisz, że i w Australii jest coś ciekawego. Są tam inne zwierzęta osobliwe, między innymi dziobak, czyli kaczonos, który wygląda tak jak duży szczur, z kaczym płaskim dziobem. Dziobak żyje w wodzie, dziobem swoim wyciąga z błota różne owady

i drobne płazy, któremi się żywi. W Australii także są czarne łabędzie i szczególniejsze ptaki, które sobie budują piękne altanki i zapraszają tam swoich gości.

Zosia. Gości zapraszają do altanek? Ale jakich gości, moja ciociu?

Ciocia. Inne ptaszki, także same jak one. Ty myślałaś może, że i ciebie zaproszą?

Zosia. Jabym poszła z ochotą, żeby mnie zaprosiły; tylko nie wiem, czy zmieściłabym się w takiej altance.

Ciocia. Watpię, bo te ptaszki nie są bardzo duże, więc i altanki niewielkie muszą urządzać, a dziewczynek nie zapraszają do swego towarzystwa.

Zosia. Ale jakież to altanki, moja ciociu, z czego one to robią?

Ciocia. Z pręcików i gałązek, które układają kamyczkami, żeby się trzymały. Ale o najciekawsze, że te przemyślne ptaszęta stroją swoje altanki w różne ozdoby; zbierają świecące kamyczki, szkiełka, muszelki i wpychają

pomiędzy pręciki, tak zupełnie, jak my w pokojach naszych zawieszamy lustra, obrazy, żeby było ładnie i żebyśmy mieli na co patrzeć. Mówią, że czasem w tych ptasich mieszkaniach znajdowano nawet bryłki złota i różne drogie kamienie.

Zosia. A zkadże one to wziąć mogły?

Ciocia. W Australii są kopalnie złota i drogich kamieni, mogły więc je znaleźć, ale ptaszyny te podobno czasem i po mieszkaniach ludzkich plądrują, wyszukując różnych błyskotek. Inny ptak australski, o którym także wspomnieć warto, nazywa się lirogon, bo ma prześliczny ogon, w kształcie liry, czyli lutni; może go na obrazku widziałas. Teraz chciałabym ci jeszcze coś opowiedzieć o australskich lasach, szkoda tylko że te lasy wcale nie ładnie wyglądają; drzewa w nich nie mają prawie liści, tak że nie chronią nawet od upału, bo nie dają cienia.

Zosia. Jakże tam musi być smutno; tak jak u nas zimą, kiedy liście z drzew opadną.

Ciocia. Nie zupełnie tak, bo te drzewa mają jakieś liście zielone, ale wąskie, sztywne, wcale niepodobne do tych naszych najpospolitszych. Możesz sobie wyobrazić, jak nieprzyjemnie jest po tych lasach chodzić, bo upał tam bywa nieznośny, a cienia żadnego niema. Ale to gorzej, że na tych drzewach siedzą straszliwe, jadowite, czarne węże, które rzucają się z wysoka na ludzi i śmierć niechybną zadają swojemi zatrutemi żądłami.

Zosia. Ciociu, ja nie chcę iść do tego okropnego lasu, jedźmy już gdzieś do ładniejszych krajów.

Ciocia. A o ludziach, co tam mieszkają w Australii, czy nie chcesz nic wiedzieć?

Zosia. Oni także muszą być nieładni, nieprawdaż, ciociu?

Ciocia. Zgadłaś najzupełniej. Australczycy są może najbrzydsi ze wszystkich ludzi na ziemi. Zupełnie podobni do małp, czarni, chudzi i do tego strasznie dzicy.

Zosia. O, to już najgorzej. Niechby sobie byli nieładni i czarni, mniejsza o to, mogliby być dla tego grzeczni i uprzejmi; ale jeżeli dzicy i źli, to już lepiej uciekajmy od nich, bo jeszcze gotowi nam coś złego zrobić.

Ciocia. Zapewne, tem bardziej, że nie mamy tu co robić dłużej w Australii, lepiej już dziś odpocznijmy, a jutro pojedziemy do Ameryki.

XXIII.

Zosia. Do Ameryki, ciociu, do Ameryki! Wsiadajmy na okręt, ja wiem, że do Ameryki przez morze trzeba jechać.

Ciocia. A więc jedźmy, nie traćmy czasu. Na ląd wysiadajmy w południowej Ameryce i od razu zapuszczajmy się w lasy. O, takich lasów nie widziałyśmy jeszcze w żadnej części świata.

Zosia. Jakież to lasy, cioteczko?

Ciocia. Najprzód bardzo wielkie; ciągną się na takich ogromnych przestrzeniach, że można iść bezustanku przez kilka tygodni, nie widząc nic oprócz zielonej gęstwiny ogromnych drzew. Ale nie łatwo jest w takim lesie podróżować, bo nie dosyć, że ogromne pnie rozgałęzione wznoszą się gęsto jedno przy drugim, tu jeszcze mnóstwo innych roślin o długich, giętkich łodygach, owija drzewa od dołu do góry, wiążąc je tysiącznemi splotami, jakby sznurami, lub taśmami. Takie wijące się rośliny noszą nazwę lian. W lasach amerykańskich rośnie ich niezmierne mnóstwo i taka zład powstaje gęstwina, że nawet dzikie zwierzęta często prześliznąć się nie mogą po ziemi i skakać muszą po gałęziach. W Australii widzieliśmy drzewa, które żadnego prawie nie dają cienia, a tu przeciwnie, mnóstwo liści całkiem zasłania słońce, tak, że wśród dnia białego jest zupełnie ciemno. Trawka nawet nie rośnie po tych lasach, bo ona bez słońca i świa-

tła żyć nie może, tylko stopy liści opadających
 pokrywają ziemię pomiędzy pniami drzew. A po
 gałęziach, wysoko, skaczą małpy, ale nie takie
 ogromne i silne, jak w Afryce i Azji, tylko wy-
 smukłe i zręczne niezmiernie, z długimi ogo-
 nami, któremi się do gałęzi czepiają. Małpy
 te prawie nigdy nie schodzą na ziemię, śpią na-
 wet na drzewach, a najczęściej ogon owijają
 mocno na gałęzi i całe się zawieszają w po-
 wietrzu. Mnóstwo różnych zwierzątek podob-
 nych do wiewiórek także na drzewach przeby-
 wa, a ptaków wyliczyć trudno. Najpiękniejsze
 są papugi, czerwone, błękitne, zielone, i malut-
 kie kolibry, śliczne ptaszyny, mało co większe
 od motylków. Piórka ich jaskrawe, purpurowe,
 złociste; szafirowe, zielone, błyszczą i migocą,
 jak drogie kamienie. Kolibry najczęściej na
 liściach drzew zawieszają maleńkie swoje
 gniazdeczka i składają w nich jajeczka drob-
 niutkie jak groch.

Zosia. O, moja ciociu, jakież to śliczne
 muszą być ptaszeczki; żeby to sobie złapać

takiego kolibrzyka i zamknąć w klateczce. Tylko nie wiem, co one jeść lubią.

Ciocia. Kolibry chwytają drobne muszki, niektóre znów wysysają sok z kwiatów, tak jak motyle. W klatce ich jednak utrzymać nie potrafisz, bo śliczne te ptaszęta nie dają się podobno oswoić i zwykle giną prędko w niewoli.

Zosia. Biedaczki! już ja ich łapać nie będę. Będę tylko patrzeć na nie, przechadzając się po lesie. Ale ja zapomniałam, moja ciociu, toż my się nie wciśniemy do tego lasu, kiedy tam taka okropna gęstwina. Przecież nie możemy skakać po gałęziach, jak te ptaszki, albo małpeczki.

Ciocia. W gęstwinę zapuszczać się nie będziemy, bo musiałybyśmy chyba brać z sobą siekiere i drogę sobie wyrąbywać. Ale tam wśród lasów płyną liczne rzeki i mnóstwo mniejszych strumieni, najlepiej więc wsiądziemy na łódkę i popłyniemy.

Zosia. Jakże to ślicznie będzie, ciociu, taką łódeczką płynąć. Tylko, czy my ztamtąd

zobaczymy dobrze te osobliwe drzewa, co w tych lasach rosną?

Ciocia. Możemy za to napotkać osobliwe wodne rośliny w rzekach i jeziorach amerykańskich. Czy widziałas kiedy wodne lilijki białe i żółte, co rosną u nas na stawach?

Zosia. Widziałam, cioteczko. One zupełnie do tulipanów podobne.

Ciocia. Wystawże sobie taką lilijkę ale podobną więcej do róży, bo jest różowa i ma ze sto płatków, a tak ogromna, że gdybyś ją niteczką zmierzyła w około, niteczka miałaby półtora łokcia lub więcej długości. Liście ciemno-zielone, grube, z odwiniętymi brzegami, wyglądają jakby jakieś tratwy. Tak mocno się trzymają na wodzie, że ptaki, do naszych bocianów podobne, mogą się po nich przechadzać najbezpieczniej. Dwóch ludzi potrzeba, ażeby taki listeczek unieść mogli w całości. Gdybyś ty taką roślinkę zasadziła w swoim ogródku, nie miałabyś już miejsca na inne kwiatki.

Wspaniałą ten kwiat nazywa się Wiktorya regia, to jest królowa Wiktorya.

Zosia. O, ciociu, jedźmy koniecznie łódką po amerykańskich rzekach. Ja chcę zobaczyć taki kwiatek ogromny. Cóż to za śliczności!

Ciocia. Będziemy tylko uważać, żeby się wybrać w pogodę, bo tam przez kilka miesięcy padają nieustanne deszcze i wtedy wszystkie rzeki przybierają ogromnie, wychodzą z brzegów i prawie cały kraj zalewają wodą. Wszystkie drzewa zanurzone są do połowy w wodzie, a dzicy ludzie budują sobie mieszkania na gałęziach, tak jak ptaki.

Zosia. I tam są dzicy ludzie? Czy także czarni i nieładni?

Ciocia. Ładniejsi trochę od Australczyków i nie zupełnie czarni, tylko skórę mają czerwoną, jak miedź.

Zosia. To jednak nie muszą być piękni?

Ciocia. Ci dzicy Amerykanie po lasach i puszczech się kryją, ale w miastach mieszka-

ją ludzie tacy jak my; dawniej kiedyś ich pradiadowie z Europy do Ameryki przybyli, zamieszkali tam, i pobudowali piękne miasta, podobne zupełnie do europejskich.

Zosia. A to ja wolę do tych miast sobie pojechać. Poco mamy się po lasach błąkać.

Ciocia. W mieście nic ciekawego nie zobaczymy, tylko domy, ulice, sklepy, a w lesie tyle jest drzew osobliwych, które nie rosną u nas. Nasze drzewa kwitną tak niepozornie, a w tych krajach gorących drzewa leśne mają wspaniałe, kolorowe kwiaty, i te liany, co to się wiją po gałęziach, równie pięknie kwitną; trudno jednak dopatrzeć tych kwiatów, bo zwykle rozwijają się bardzo wysoko, tam gdzie im nie brak światła; niżej zaś wśród lasu czasem zupełnie jest ciemno, bo promienie słoneczne nie mogą się przedrzeć przez tę niezmierną gęstwinę. Znajdziemy tam jednak dosyć różnych smacznych owoców, ale największą może osobliwością amerykańskich lasów jest drzewo krowie.

Zosia. Drzewo krowie? A to coś ciekawego Dla czegoż ono się tak nazywa moja ciociu?

Ciocia. Bo daje mleko, tak jak krówka.

Zosia. Ach, jakże to doskonale. Jak się nam jeść zechce w tym ogromnym lesie, zaraz sobie poszukamy tego krowiego drzewa i udoimy mleczka. Ale jakże to mleczko się doi, moja ciociu?

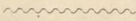
Ciocia. Bardzo prostym sposobem. Weźmiemy z sobą siekierkę, albo ostry nóż, zrobimy w pniu drzewa nacięcie, postawimy dzbanuszek, albo szklankę i z tego nacięcia wycieknie zaraz sok biały, pachnący, smaczny, zupełnie podobny do mleka. Jeżeli nie wypijemy od razu, schowamy resztę na potem, a mleczko to, jak postoi, zgęstnieje tak jak śmietana, a nawet zsiądzie się jeszcze lepiej i będziemy miały bardzo dobry serek.

Zosia. O, jakżeż to zabawnie, moja ciocieczko, jakżeż to zabawnie. Szkoda, że u nas nie rosną takie drzewa.

Ciocia. Kiedy już mówimy o drzewach osobliwych, muszę ci powiedzieć, że ta guma elastyczna, z której się robią kalosze i mnóstwo innych rzeczy, to także jest sok z pewnych drzew wypływający; sok ten, krzepnąc robi się twardy, a urządzony różnymi sztucznymi sposobami stanowi wyborny materiał, z którego wiele pożytecznych przedmiotów wyrabiają. Takie drzewa tylko w gorących krajach rosną; są one szacowniejsze daleko od drzew krowich.

Zosia. Jabył jednak woląa te, co mleczko dają, i bardzo żałuję, że one u nas nie rosną.

Ciocia. Alboż to krowie mleczko nie dobre? Chodź, spróbuj; oto właśnie mama idzie po nas, bo już pewnie podali podwieczorek.



XXIV.

Ciocia. W drogę, Zosieńko, w drogę, jeszcze mamy kawał świata objechać. Wczoraj zwiedziliśmy las amerykański, ale tam są jeszcze góry i stepy.

Zosia. Na górach to znów pewnie będzie zimno. A w tych lasach, cioteczko, czy bardzo gorąco?

Ciocia. Daleko cieplej, niż u nas, zimy tam niema nigdy, zawsze jednak upały nie są tak dokuczliwe, jak w afrykańskich pustyniach, bo w Ameryce, tam właśnie gdzie jest równik, i słońce najmocniej grzeje, płyną największe na ziemi rzeki i rosną najrozleglejsze lasy. Obfitość wody odświeża powietrze, a drzewa dają cień, który chroni od zbytniego skwaru. Nigdzie też na całej ziemi nie pada tak wiele deszczu.

Zosia. Ale za to, jak tam wszystko rośnie, jakie lasy, jakie drzewa!

Ciocia. Wszystkie te drzewa są ogromne, wybujałe; palmy, o wysmukłych pniach, w Ameryce najpiękniej i najobficiej wyrastają. Cały obszar ogromny pokryty lasami, poprzerynany rzekami, nazywa się doliną Amazonki, bo tam przez sam środek płynie olbrzymia rzeka zwana Amazonką. Dalej zaś, na zachód, ciągną się góry Andy, albo Kordyliery. Na stokach tych gór rosną także rozmaite drzewa, a między innymi chinowe; kora ich gorzka jest wyborem lekarstwem.

Zosia. Ta gorzka, brzydka china? Ciociu, nie jedźmy tam, gdzie te drzewa rosną; ja wolę te, co mleczko dają.

Ciocia. A pamiętasz, jak chorowałaś kiedyś na febrę, jak cię główka bolała, jaką miałaś gorączkę? Ta brzydka china wyleczyła cię odrazu. Żeby nie ona, byłabyś cierpiała bardzo długo. To też w Ameryce starannie zbierają tę szacowną korę chinową i rozwożą po całym świecie. A teraz, kiedyśmy już zwiedziły osobliwości Ameryki południowej,

musimy jeszcze i północną obejrzeć. Tu najprzód mamy przed sobą wielki kraj zwany Meksykiem. Nim się dostaniemy w żyźniejszą okolice, musimy przebyć rozległe stepy, gdzie tylko skały nagie sterczą, a na gruntach kamienistych trawa nawet wyrosnąć nie może. Ale i tam są rośliny i bardzo osobliwe. Czy widziałaś kiedy kaktusy?

Zosia. O, widziałam; u mamy jest kilka kaktusów w doniczkach. Jeden taki zabawny, zupełnie jak beczuleczka, a cały kolcami obrośnięty; drugi ma takie liście grube, jakby jakieś placuszki, inny znów do niczego niepodobny, cały złożony z takich dziwnych bryłek pozlepianych, a wszystkie mają kolce. Ale te kaktusy prześlicznie kwitną.

Ciocia. Otóż wyobraź sobie, że na stepach Meksykańskich takie same kaktusy wyrastają tak wielkie jak drzewa. Te baryłeczki tam wyglądają, jak beczki ogromne, te bryłki, jak potężne kloce, wszystkie są kolcami obrośnięte, wszystkie pięknie kwitną, a niektóre wy-

dają smaczne owoce. Jest także jeden gatunek kaktusu, na którym żyje mnóstwo małych, czerwonych owadków. Z owadków tych robią bardzo piękną farbę czerwoną, zwaną koszenillą. W wielu ciepłych krajach uprawiają umyślnie takie kaktusy, ażeby na nich hodować tę szacowną koszenillę. Inne kaktusy, podobne do dyni, najeżone także kolcami, wypełnione są we środku sokiem orzeźwiającym; nieraz też bydłęta spragnione rozbijają je kopytami i wypijają ten sok. Na tych stepach niema prawie wody a deszcz bardzo rzadko pada. Ale kaktusy obchodzą się bez wody, dla tego to i twoja mama nie podlewa ich często, bo to im nawet szkodzić może.

Zosia. Pamiętam, mówiłaś mi już, ciociu, że te kaktusy z Ameryki do nas przyjechały.

Ciocia. Teraz i u nas rozprowadzają je z nasion, lub gałązek; ale zawsze kiedyś, dawniej, najpierwsze krzaki z Ameryki przybyły, bo w Europie nie rosły dawniej kaktusy. Jak już napatrzysz się do woli na te dziwaczne

rośliny, pojedziemy dalej i obaczymy żyzniejsze okolice, ogromne łąny, na których uprawiają trzcinę cukrową, bawełnę, potem rozkoszne lasy palmowe, banany, i mnóstwo innych drzew i ziół właściwych gorącym krajom. Dalej znowu natrafimy na stepy bardzo rozległe, ale już nie tak dzikie i puste; są to raczej łąki jakieś niezmierne, pokryte najpiękniejszą i najbujniejszą trawą, cudnymi kwiatami, poprzerzynane rzekami, strumieniami. Na tych pięknych łąkach pasą się stada bawołów, jelenie, strusie, a nawet ogromne stada dzikich koni.

Zosia. Jakież to dzikie konie, ciociu?

Ciocia. Są to konie zwyczajne, ale żyją sobie swobodnie po lasach i łąkach. Kiedy Krzysztof Kolumb odkrył Amerykę, nie było tam wtenczas ani jednego konia, a Amerykanie bardzo się dziwili, gdy zobaczyli jakieś zwierzęta nieznanne; podobno nawet, gdy pierwszy raz ujrzeli ludzi jadących konno, wyobrażali sobie, że to są jakieś potwory, na pół zwierzę-



Stado dzikich koni.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

ta, a na pół ludzie; oni myśleli, że jeźdźcy wyrośli na tych koniach.

Zosia. A to zabawne. Czyż oni nigdy nie jeździli na koniach? Ale to prawda, że tam u nich koni nie było, na czymże więc ludzie jeździli, moja ciociu, na wielbłądach może, albo na słoniach?

Ciocia. W Ameryce nie ma ani słoni, ani wielbłądów. Tam drzewa i wszystkie rośliny nadzwyczaj bujnie wyrastają, ale zwierzęta amerykańskie nie są ani tak wielkie, ani tak silne, jak w Azji i w Afryce. Z drapieżnych żyją tam jaguar i puma; są to także koty, ale znacznie mniejsze od lwa i tygrysa. Z roślinożernych największe są bawoły; w górzystych okolicach przebywają lamy, rodzaj kóz, które się oswajać dają i dostarczają mieszkańcom mleka, a niektóre gatunki, pięknej wełny. Konie zaś sprowadzone z Europy i wypuszczone na swobodę, tak się rozmnożyły po lasach i łąkach, że ogromnemi stadami tam żyją, a kto chce sobie dobrać koni do jazdy, nie potrzebu-

je ich kupować na jarmarku, ale je chwytą w puszczy i ujeżdża.

Zosia. Ale to musi być bardzo trudno złapać takiego dzikiego konika.

Ciocia. Amerykanie mają do tego przyrząd szczególny, zwany lasso. Jest to sznur bardzo mocny, który na obu końcach ma uwiązane ciężkie ołowiane kule. Umieją oni tak zręcznie rzucać to lasso, że kule nie uderzają konia, tylko sznur okręca mu się około nóg, tym sposobem biorą konia w niewolę, bo koń spętany uciekać nie może.

Zosia. My tego pewnie nie potrafimy, ciocieczko, ale poprosimy jakiegoś Amerykanina, żeby nam złapał cztery siwe koniki i będziemy miały czem jeździć do lasku z mamą.

Ciocia. Tymczasem sobie wypoczniemy po tych wszystkich podróżach. To nie żarty przejechać wzdłuż i w szerz całą ziemię.

XXV.

Nazajutrz Zosia wbiegła wesoło do pokoju cioci, zapytując, czy znowu pojedzie z nią do jakich dalekich krajów? ale ciocia powiedziała, że już niema czasu podróżować tak bardzo daleko, bo musi naprawdę jechać do Warszawy, do swojego domu.

Zasmuciła się Zosia, bo już zupełnie o tem zapomniała, że ciocia kiedyś odjechać musi, ale mama, która weszła właśnie w tej chwili, pocieszyła ją, obiecując, że jeśli będzie grzeczna, to pojedzie z nią kiedyś do Warszawy, do cioci. Zosia aż w rączki klasnęła z radości, bo nigdy jeszcze nie była w Warszawie, a wiedziała, że tam wiele ciekawych rzeczy zobaczyć można.

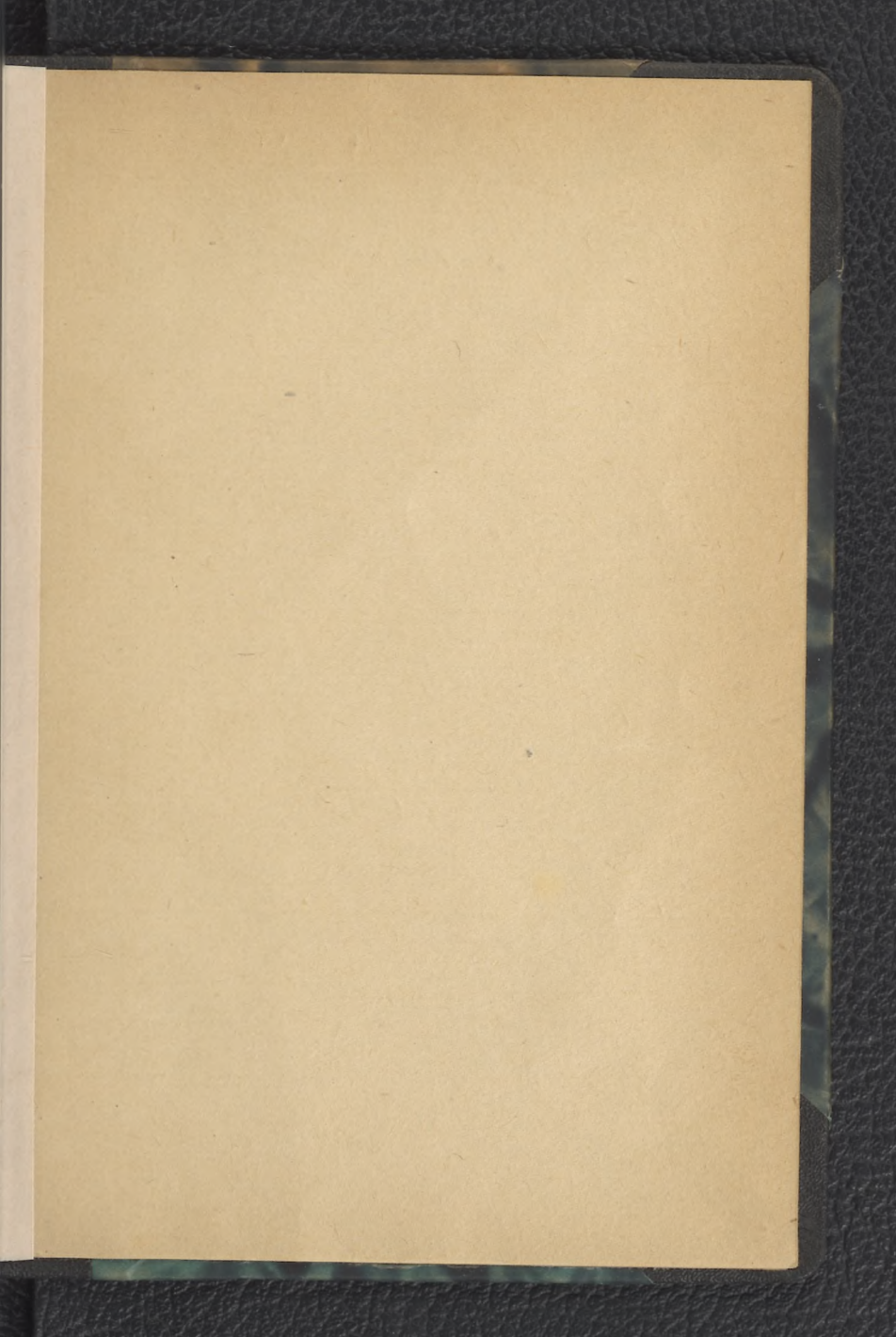
Tymczasem pomagała cioci pakować rzeczy na drogę, i uśmiechała się, myśląc, że i ona z mamą będzie tak samo pakowała swoje sukienki, jak będą miały jechać do Warszawy.

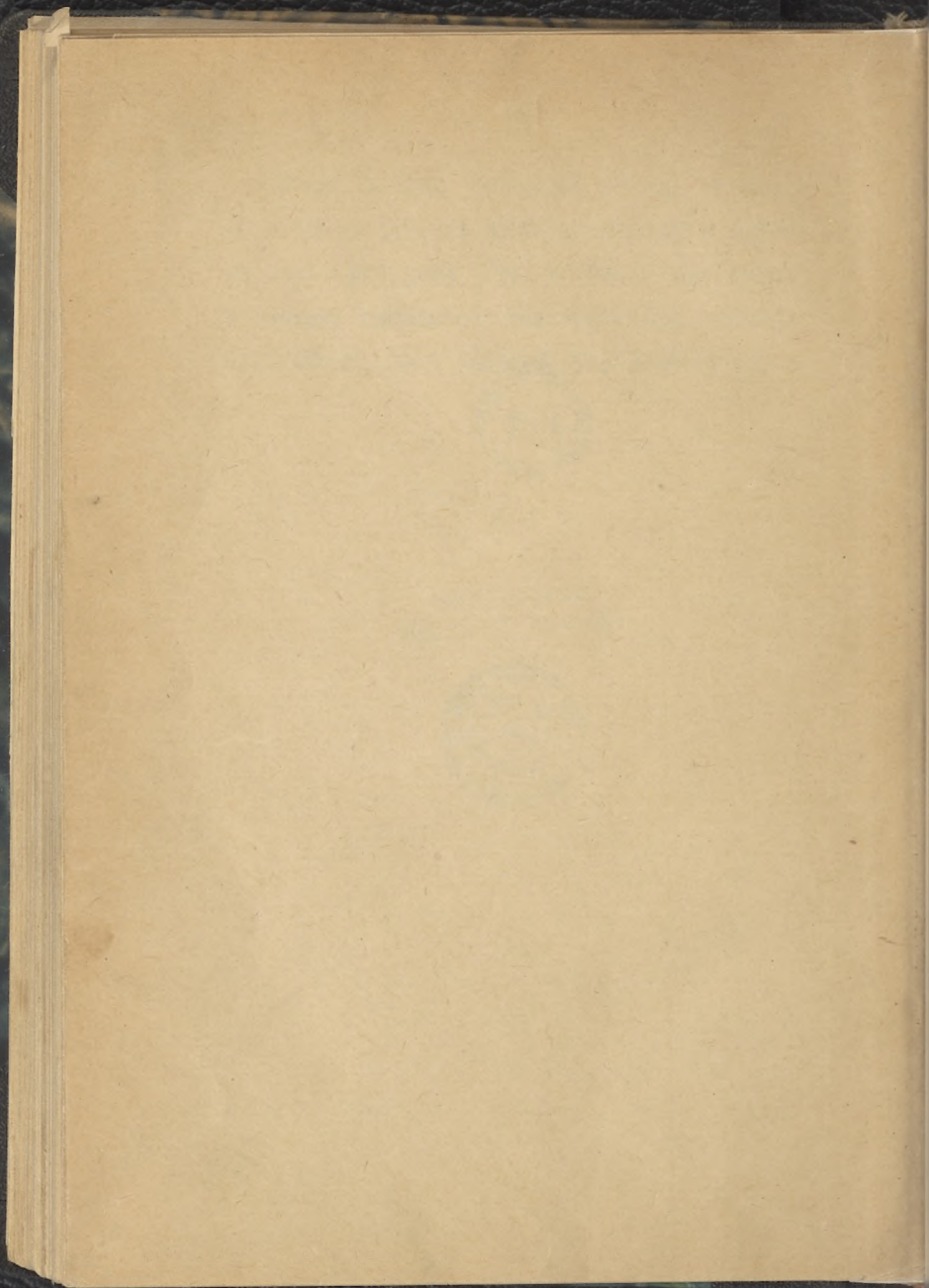
Mama pewnie dotrzyma słowa, a ciocia obiecała, że tak, jak spisała rozmowy w ogródku, tak i przygody Zosi w Warszawio opisze, w osobnej książeczce, dla wszystkich grzecznych dzieci, które *Świątek Zosi* przeczytają.



K O N I E C.

K O N I E C
DRUK ZBEDNY
BIBLIOTEKI PISARZY





Lev

472383/87

Ant Nauk
Kraków 310785

-200 zł.-



1563986
